...ej Wyższej Szkoły Pedagogicznej
w GDAŃSKU

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron | Warszawa, 8 maja 1955 r. | Nr 19 (267) Rok VI

Dziesięć lat pokoju

Dobrze pamiętam tę datę: 10. V. 1945 r. Wyczytałem ją ze świeżej mogiły na białostockim skwerze. Wczoraj jeszcze przeżywaliśmy tak gwałtowne i nieprzytomne święto zwycięstwa, że niewiele wzruszeń pozostać mi miało w pamięci. A teraz stałem pośród gorącej, bujnej wiosny przed nieosiadłym jeszcze grobem, w którym leżał młody oficer poległy nazajutrz po zakończeniu wojny. Mieszczański bohater Remarque'a padł od zabłąkanej kuli w mglistej ciszy rozejmu, żołnierz rewolucji zabity został w pierwszym dniu pokoju przez bezimiennego bandytę.

Może i nie powinienem przypominać tego zdarzenia z okazji dziesiątej rocznicy zwycięstwa. Ale przecież wiele jeszcze trzeba było zerwać kartek kalendarza po owym pamiętnym dniu, zanim w moim kraju umilkły strzały, nim ukończona oficjalnie wojna zeszła głęboko pod ziemię. Nasze pokolenie słyszy ją jeszcze dziś, w trzasku stempli śląskiego chodnika górniczego, którym skrada się agent gehlenowski, w odgłosie wybuchu nowej bomby atomowej rzuconej na specjalnie wybudowane w tym celu stutysięczne miasto.

Już dziesięć lat walczymy z groźbą wojny. Dziesięć lat temu odłożyliśmy karabiny, żeby zasiąść do zdawania matury. Moje pokolenie doczekało się dzieci, chowamy je w słońcu, chronimy je przed cieniem. Wścieka mnie słowo „śmierć" spotykane w książce dla dzieci. Nie umiem i nie chcę tłumaczyć mojej córce sensu tego słowa.

Jakie były te nasze dni pokoju? Z albumowych zdjęć przedstawiających jasne domy i wielkie fabryki nie łatwo domyślić się naszego trudu. I z naszych książek nie wiele wyczytamy. A przecież każdy obywatel mego kraju zna cenę swojej pracy, jakoś tam po swojemu odczuwa i rozumie rangę epoki, w której przyszło mu żyć. Ciężkie i cierpkie jest to nasze budowanie. Nie chciałbym być pomówiony o mistycyzm, ale bardzo sobie chwalę nasz wspólny wysiłek i całą gorycz dnia codziennego. Zdaje mi się to szlachetniejsze i godziwsze od pogodnej, błogiej konsumcji.

Byłem ostatnio w Berlinie, mieście, w którym zgasła wojna. Jechałem autostradą tranzytową łączącą Berlin zachodni z NRF. Mijały nas wspaniałe superauta wiozące sytych ludzi na zabawę w wielkim gwarze Kurfürstendammu. A myśmy dychawicznym klekotem podążali w głąb Niemiec niosąc słowa przyjaźni między narodami, spełniając najlepszą powinność naszego wieku. Myślałem wtedy wiele o naszym życiu i o naszych kłopotach, przypomniałem nawet sobie bez goryczy o tym, jak ciężko jest mi nieraz wydać książkę i jak łatwo mi jej nie wydać.

Wdałem się niedawno w dysputę polityczną z pewnym rzemieślnikiem, mistrzem swojej specjalności, który kilka lat przesiedział w Dachau. Rozmówca mój klął wojnę i jak to zwykle w takich pogaduszkach bywa — snuł jakieś utopijne wizje powszechnego pokoju na zasadzie, że „każdy przecież rozumie..."

W końcu rzekł:

— Jeśliby, panie, zdarzyło się: albo obóz koncentracyjny, albo wojna, to sam pan wie...

Rzemieślnik ten słyszy faszyzm, który tuła się jeszcze po świecie, zapala się w nagłych pożarach tu i tam. Człowiek ten potrafi bronić swojej ludzkiej godności.

Nadciąga spóźniona wiosna. Lada dzień posłyszymy gdzieś w podmiejskim lesie kukułkę. Nie pytajmy jej o lata pokoju. Sami je przecież zdobywamy, odpowiedzi więc poszukajmy w sobie, w swoich siłach i swoim sercu.

Tadeusz Konwicki

EDMUND BORA

9 maja i później

17 lipca 1945 roku nadeszła do Trumana przebywającego właśnie w Poczdamie depesza zawiadamiająca go, że niemowlęta urodziły się zdrowe. Oznaczało to, że narodziła się pierwsza bomba atomowa, że w pustyni Nowego Meksyku odbyła się pomyślnie próba z bombą atomową. Wiadomość o zdrowych niemowlętach oznaczała w praktyce, że wkrótce — bo 6 i 9 sierpnia — zginą od bomb atomowych setki tysięcy niemowląt, dzieci i osób dorosłych w Hiroszimie i Nagasaki.

Ale Truman i Churchill postanowili jeszcze przed militarnym zastosowaniem bomby atomowej wypróbować ją w sferze polityki, w dyplomacji. W tydzień po otrzymaniu radosnej nowiny o pomyślnym porodzie bomby atomowej — 24 lipca, po jednym z plenarnych posiedzeń poczdamskiej konferencji wielkiej trójki, Truman wstał od stołu obrad i podszedł do Stalina, żeby odbyć z nim pożegnalną pogawędkę. W odległości kilku metrów od nich stał Churchill, który — jak sam opowiada w 6 tomie swoich pamiętników z czasów drugiej wojny światowej — obserwował z napiętą uwagą twarze obu rozmówców. Usiłował odgadnąć, jakie wrażenie odbije się na twarzy Stalina, gdy Truman zakomunikuje mu nowinę o wyprodukowaniu przez Stany Zjednoczone pierwszej bomby atomowej.

Rys. Tadeusz Kulisiewicz

Gruzy Kancelarii III Rzeszy (Berlin 1955)

Churchill spodziewał się, że ta bądź co bądź rewelacyjna wiadomość zostanie odpowiednio przyjęta przez Stalina; że Stalin się nią przejmie; że — jak pisze Churchill w „Drugiej wojnie światowej" — Stalin powie Trumanowi: „dziękuję za wiadomość; czy mogę posłać mego eksperta w sprawach atomowych, żeby się spotkał z pańskim ekspertem?"

Jednakże premier Wielkiej Brytanii nic nie wywnioskował z twarzy Stalina. A relacja samego Trumana o przebiegu rozmowy była jeszcze mniej zachęcająca. Na pytanie Churchilla: no jak tam poszło? — prezydent USA odpowiedział: on mnie o nic nie zapytał. „Sprawa ta — dodaje Churchill — więcej już nie była poruszana na konferencji poczdamskiej ani przez nas, ani przez delegację radziecką".

Tak oto pierwsza amerykańsko-brytyjska próba wykorzystania niemowląt atomowych w dziedzinie pozawojskowej zawiodła oczekiwania jej szczęśliwych rodziców.

Działo się to niecałe trzy miesiące po kapitulacji Niemiec hitlerowskich. Ale na długo przed 9 maja 1945 r., właściwie już po zwycięstwie stalingradzkim, Waszyngton i Londyn zdawały sobie sprawę z tego, że jeden z naczelnych celów kapitalistycznych uczestników koalicji antyhitlerowskiej — maksymalne osłabienie militarne Związku Radzieckiego — nie zostanie osiągnięty.

W obu tych stolicach spodziewano się jednak, że po zakończeniu wojny będą na dalszą metę działały osłabiająco na Związek Radziecki skutki strat materialnych i ludzkich poniesionych przez ten kraj w okresie wojennym. Reszty miała dokonać bomba atomowa, która — monopolizowana przez Waszyngton przez długi okres czasu — utrzymywałaby układ sił korzystny dla mocarstw imperialistycznych.

Ale już w lipcu 1945 r., po pierwszym pomyślnym wypróbowaniu bomby atomowej w pustyni, zawiodła ona w Poczdamie. Nie pomogła również Trumanowi rzeź dwustu tysięcy niewinnych mieszkańców Hiroszimy i Nagasaki. Rząd radziecki prowadził w dalszym ciągu swą politykę z tym samym spokojem, z jakim Stalin przyjął zakomunikowaną mu przez Trumana wiadomość, iż USA posiadły broń masowego zniszczenia, której Związek Radziecki nie ma.

Przeszło kilka lat, w ciągu których rewolucje w krajach Europy Środkowej i Południowej stały się nieodwracalnym faktem. Jak wiadomo, wszystkie te kraje zostały w okresie międzywojennym zaszczycone rolą ogniw słynnego „kordonu sanitarnego", jakim świat kapitalistyczny usiłował otoczyć po Rewolucji Październikowej Związek Radziecki. Były to przy tym kraje tzw. Europy B, tzn. tej części Europy, która stanowiła zaplecze surowcowe i teren inwestycji kapitałów uprzemysłowionego Zachodu. W okresie wojennym kraje te znajdujące się pod okupacją hitlerowską poniosły straty materialne i ludzkie niewspółmiernie większe niż kraje zachodniej Europy. Straty te były tak poważne, że zwycięstwo rewolucji w tych krajach byłoby w praktyce niemożliwe, gdyby — jak to przewidywały prognozy sfer miarodajnych w Waszyngtonie i Londynie — skutki drugiej wojny światowej zaciążyły fatalnie na możliwościach regeneracji gospodarczej ZSRR. Gdyby się te prognozy sprawdziły, znacznie utrudniona byłaby pomoc gospodarcza Związku Radzieckiego dla krajów demokracji ludowej, pomoc, bez której nie byłaby możliwa ich odbudowa i socjalistyczna przebudowa.

Pomyłka w ocenie możliwości ustroju socjalistycznego popełniona przez wielu wybitnych polityków i burżuazyjnych ekonomistów Zachodu nie była przypadkowa — ani też nie świadczy oczywiście o ich osobistych brakach w kwalifikacjach zawodowych. Jako zdecydowani przeciwnicy socjalizmu, nie mieli po prostu żadnych podstaw do uznania i uwierzenia, że mimo olbrzymich strat poniesionych w wojnie socjalistyczny Związek Radziecki potrafi w ciągu kilku lat stać się mocarstwem o wiele potężniejszym niż przed wojną.

Nie sądzono również w Waszyngtonie i w Londynie, że Związek Radziecki w ciągu kilku lat opanuje tajemnicę produkcji bomby atomowej i wodorowej. Churchill podaje, że na prace badawcze przed wyprodukowaniem pierwszej bomby atomowej Amerykanie wydatkowali sumę odpowiadającą 400 miln. funtów. Stosując kryteria przyjęte — i właściwe — dla kapitalistycznych organizmów państwowych, Truman i Churchill mieli wszelkie podstawy do rozumowania, że tak bardzo wykrwawione przez wojnę mocarstwo jak Związek Radziecki nie będzie mogło się zdobyć na wyprodukowanie w szybkim tempie bomby atomowej.

Toczy się obecnie w USA cyniczna dyskusja na temat: czy Stany Zjednoczone nie popełniły wielkiego „historycznego" błędu nie rozpętawszy wojny atomowej w pierwszych latach powojennych, kiedy Związek Radziecki broni atomowej nie posiadał. Z dyskusji tej jedno wynika jasno: Stany Zjednoczone nie tyle nie chciały, ile nie mogły wszcząć wojny atomowej w okresie gdy były w sytuacji monopolisty atomowego. Druga wojna światowa bowiem mobilizując do czynnego udziału w decydowaniu o historii setki milionów ludzi, przekształciła te masy ludzkie, ich wolę, w poważny czynnik polityczny. Posiadając nawet monopol broni atomowej, Stany Zjednoczone nie mogły się łudzić, że bez czynnej pomocy i współudziału „potencjału ludzkiego" Europy Zachodniej potrafią pomyślnie przeprowadzić krucjatę przeciw Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej.

Koła rządzące w Europie Zachodniej znalazły się po drugiej wojnie światowej w obliczu sytuacji zupełnie nieoczekiwanej. Mimo okrutnej akcji wyniszczającej, prowadzonej przez hitlerowskie władze okupacyjne, Komunistyczna Partia Francji wyrosła na największą partię tego kraju. We Włoszech, gdzie przez dwadzieścia kilka lat dyktatury faszystowskiej burżuazja wszelkimi środkami administracyjnymi i ideologicznymi „wykorzeniała" komunizm — weszła po wojnie do udziału w życiu politycznym milionowa partia komunistyczna.

W ten sposób w dwóch wielkich krajach na zachodzie naszego kontynentu klasy posiadające znalazły się w sytuacji, w której bez zastosowania taktyki starannie maskowanej frazesami pokojowymi nie mogły się włączyć do montowanego przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię sojuszu wojskowego przeciw krajom socjalizmu. Ta konieczność zachowania maksymalnej ostrożności wobec — czy to jawnych sympatii znacznej części społeczeństw Europy Zachodniej do Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, czy też wobec jeszcze powszechniejszych nastrojów antywojennych, utrudniała a w praktyce (jak wiemy dziś) uniemożliwiła dotychczas rozniecenie pożaru wojennego.

Kierownicze koła obozu imperialistycznego zaczynają w tych warunkach coraz bardziej zdecydowanie stawiać na żywioły rewizjonistyczne w Niemczech Zachodnich. Powstaje blok atlantycki i Niemiecka Republika Związkowa typowana jako przyszła, główna w Europie, siła uderzeniowa tego bloku. Ale w tym samym czasie Związek Radziecki w terminie nieoczekiwanym przez Waszyngton i Londyn przystępuje do produkcji broni atomowej a później wodorowej. W tym samym czasie przy bezpośredniej pomocy Związku Radzieckiego w samych Niemczech rodzi się samodzielny demokratyczny organizm państwowy — antyrewizjonistyczny i antymilitarystyczny. Powstaje NRD.

W Europie zarysowuje się z całą ostrością nowa sytuacja polityczna, nie przewidziana w okresie wojennym przez koła rządzące USA i Wielkiej Brytanii. Powrót Polski na Zachód, oparcie jej granic o Odrę i Nysę nie tylko nie stało się — jak to zapowiadała międzynarodowa reakcja — czynnikiem wzmacniającym odwetowe Niemcy, lecz wręcz przeciwnie — osłabiło je. Dzięki powstaniu NRD zadany został na obszarze między Odrą a Łabą dotkliwy cios koncepcji i „wizji" Mitteleuropy skłóconej jeszcze bardziej niż przed rokiem 1939. Społeczeństwo niemieckie ujrzało przed sobą historyczne zadanie zjednoczenia rozbitego na dwie części kraju i stopniowo zaczęło sobie zdawać sprawę, że program rewizjonistyczny nie tylko nie pomaga w realizacji tego zadania, ale wydatnie jej przeszkadza.

I co najciekawsze: im bliższe stają się perspektywy odbudowy Wehrmachtu, tym powszechniejsze — choć w różnym stopniu skrystalizowane — staje się w społeczeństwie zachodnio - niemieckim przekonanie, iż zjednoczenie kraju możliwe jest nie drogą niszczycielskiej wojny, nie wbrew i przeciw woli Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, ale drogą porozumienia z obozem socjalistycznym.

Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii udało się narzucić krajom Europy Zachodniej ratyfikację układów paryskich — zgodę na wskrzeszenie Wehrmachtu i włączenie go do sił zbrojnych sojuszu atlantyckiego. Osiągnąwszy jednak ten cel pod względem formalnym, rządy tych państw stanęły wobec przykrego dla siebie faktu, że Niemcy Zachodnie bynajmniej nie mogą być uważane za stuprocentowo pewnego i godnego zaufania sojusznika (i kozła ofiarnego) w planowanej trzeciej wojnie światowej. Świadomość bowiem, że realizacja układów paryskich oddaliłaby na czas nieokreślony zjednoczenie kraju, ożywiła i wzmocniła w Niemczech Zachodnich tendencje sprzeczne z celami wojennymi Waszyngtonu i Londynu. Szczególnie powszechne stały się te nastroje w środowiskach robotniczych i drobnomieszczańskich. Odbiciem tych nastrojów jest m. in. stanowisko SPD, partii — jak wiadomo — wcale nie wrogo ustosunkowanej do podstawowych założeń ideowo-politycznych „wolnego świata".

Rokująca Niemcom kolejną kleskę narodową polityka waszyngtońsko-londyńska musiała wywołać odpowiednie reakcje. Tym bardziej stało się to nieuniknione, że dyplomacja zachodnia dotychczas nie nauczyła się dotrzymywać kroku dyplomacji radzieckiej. Znaną jest rzeczą, że USA i Wielka Brytania raz po raz stają wobec nowych niespodzianek ze strony Związku Radzieckiego, które udaremniają plany, mozolnie i — zdawałoby się — bardzo sprytnie montowane przez imperialistów na dłuższą metę. Takim posunięciem (i taką niespodzianką) było uzgodnienie z austriacką delegacją rządową w Moskwie zasad zawarcia traktatu pokojowego z Austrią.

Polityka Związku Radzieckiego w ciągu ubiegłych dziesięciu lat stawiała dyplomację amerykańsko-angielską wobec coraz to nowych trudności i zaskoczeń. Obserwując, w jaki sposób Waszyngton i Londyn próbowały i próbują dać sobie radę z tymi trudnościami, dochodzi się do wniosku, że w tych stolicach ciągle powtarzają ten sam błąd w założeniu, jaki popełnił w Poczdamie Truman, gdy informował Stalina o wyprodukowaniu pierwszej bomby atomowej przez USA. Nie potrafią uświadomić sobie w pełni, że w stosunku do Związku Radzieckiego bezcelowe jest stosowanie metod zaskakiwania i szantażu, używanych w stosunku między państwami kapitalistycznymi.

Trzeba zresztą powiedzieć, że pozycja polityczna ZSRR na arenie międzynarodowej jest gruntownie odmienna i korzystniejsza od pozycji jakiegokolwiek mocarstwa imperialistycznego. Bo jakież państwo burżuazyjne może liczyć w kraju przeciwnika na tak szerokie zrozumienie i na sukurs moralno - polityczny tak masowy, jak ZSRR w swej pokojowej polityce? O ileż korzystniejsza jest pozycja Związku Radzieckiego i całego obozu socjalizmu od pozycji USA, skoro może on z powodzeniem apelować do wrogich wojnie nastrojów, powszechnych w krajach kapitalistycznych, nastrojów zbieżnych z polityką krajów socjalistycznych. Jakie mocarstwo imperialistyczne może liczyć na sympatię ruchu wolnościowego narodów kolonialnych. Któreż wreszcie z państw - uczestników bloku atlantyckiego może o sobie powiedzieć, że jest w tym samym stopniu co ZSRR mocarstwem światowym, że tak jak ZSRR jest i w Azji, i w Europie u siebie w domu.

Stany Zjednoczone mogą zyskiwać sobie sojuszników i pomocników w tym lub innym kraju azjatyckim. Ale geograficznie są dla wszystkich Azjatów państwem obcym, nieazjatyckim, państwem które Azja obchodzi ze względów gospodarczych, politycznych i strategicznych, ale nie jako teren macierzysty. A przy tym wszystkie mocarstwa imperialistyczne mają konta mocno obciążone u społeczeństw azjatyckich. Znają te społeczeństwa dobrze Wielką Brytanię jako stare mocarstwo kolonialne, znają w tym charakterze Francję. Zdążyły już poznać także Stany Zjednoczone jako potęgę polityczną, która nie zawahała się dla swoich celów dyplomatycznych zrzucić w roku 1945 pierwszą bombę atomową na azjatycką Japonię, a w kilka lat później uznała, że najwygodniej jest urządzać próby bomby wodorowej na Pacyfiku. Życie i zdrowie „kolorowych" wyspiarzy jest przecież po wielekroć mniej cenne od życia obywateli amerykańskich...

W Azji też z całą dobitnością wyszło na jaw, jak bardzo ograniczone są możliwości USA. Chińska Republika Ludowa powstała wbrew wielomiliardowym amerykańskim wydatkom na uzbrojenie wojsk Czang Kai-szeka. Próby zaś gospodarczego zdławienia Chin Ludowych

(Dalszy ciąg na str. 4)

ANATOL STERN

W OWYCH DNIACH

Widziałem ludzi: szli przez Ukrainę,
pachnącą trawą i złotą od zbóż.
Widziałem, matka żegnała się z synem,
Wraz z kromką chleba wciskając mu nóż.
Mówiła: „Karabin dowódcy ci dali,
żebyś ojczystych bronił wsi i pól,
a ja ci daję ten kawałek stali,
żebyś mordercom płacił za nasz ból.
A jeśli będą i wśród nas judasze,
to idź i wilkiem przegryź gardło im!
Pomnij, co nasze — musi znów być nasze".
I syn odchodził w siwej dali dym.
Tak szli drogami czerwonoarmiści,
w chlebaku leżał razowiec i nóż —
na cienkich żyłkach iskrzących się liści
kładł się kurz słońca i dróg szarych kurz.
Szli w bród przez nockę i w świcie szli świeżym
bezdrożem, traktem, brukami miast...
Pulchniały obłoki od drożdży gwiazd,
rosły i rosły w bezdennej dzieży.
Pieśni o Dnieprze, o miłej śpiewali —
była w tych pieśniach ojczyzna i wieś...
I poprzez smutną, najmilszą im pieśń
ogromny step wstawał w dali.
Dźwigał się z wolna i szedł ku nim step,
zwabiony swych synów piosenką...
I klął się na nóż, i klął się na chleb,
że wywalczą szczęście swą męką.

O znaczeniu dyskusji i o własnym zdaniu

W ankiecie *„Nowa Kultura"* w oczach czytelników" spojrzało na nas (dość koso) ponad 150 par oczu. Niby, że „w ogóle" pismo nasze jest pożyteczne, że się przyczynia itd. itd. — ale...

Z tych wielu krytycznych „ale", nieraz fragmentarycznych, uzasadnionych tylko zwrotem „podoba — nie podoba mi się", układa się parę ściśle określonych wzorów oceny (zresztą nieraz sobie przeciwstawnych). Nim zajmiemy się ich kwalifikacją, próbą ściślejszej analizy — pragniemy najpierw serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy zadali sobie trud udziału w ankiecie, i zapewnić, że wszystkie listy (nawet te, które nie znalazły się w druku) zostały skrupulatnie przeczytane, a wnioski z nich wyciągnięte posłużą (lub posłużyły już) do opracowywania przez zespół redakcyjny nowych planów batalii — we wszystkich dziedzinach twórczości nas zajmujących. Pragniemy też przeprosić tych czytelników, którzy nadesłali nam listy podobne imieninowym laurkom, za to że poświęciliśmy im stosunkowo najmniej uwagi. Atmosfera samych pochwał nie sprzyja rozwojowi.

Ale na przekór temu ostatniemu stwierdzeniu — warto podkreślić uznanie, jakie czytelnicy we wszystkich listach wyrażają dla rozpoczęcia i konsekwentnego kontynuowania przez „Nową Kulturę" publikacji wypowiedzi pisarzy w związku z dziesięcioleciem Polski Ludowej. Z uznaniem tym w. wielu wypadkach wiązała się zresztą krytyka. *„Czy trzeba będzie czekać następne 10 lat, aż „Nowa Kultura" zacznie drukować podobne publikacje w związku z dwudziestoleciem"* — zapytuje np. Jerzy Mizerski ze Świdnicy — *„uważam, że „Nowa Kultura" powinna niezależnie od publikowania ankietowych wypowiedzi zamieszczać biografie pisarzy współczesnych, własne wypowiedzi twórców na temat podejmowanych przez nich prac"*. Istnieje więc wśród czytelników duża ciekawość spraw związanych z pisarskim podwórkiem, czyli tzw. warsztatem twórczym, i przyznajemy, że ciekawości tej nie zaspokajaliśmy w należytej mierze. Czy i jak możemy ją zaspokoić? Postaramy się powrócić raz jeszcze do tej sprawy, pod koniec tego artykułu. Na razie dokonamy przesłuchania swoistego „koncertu życzeń" zwracając uwagę na życzenia typowe w sensie przeciętnym, tzn. spotykane w większości listów.

Życzenie pierwsze: więcej artykułów z dziedziny historii literatury (zarówno polskiej jak obcej) i literaturoznawstwa (monografie twórczości klasyków itp.).

Życzenie drugie: więcej informacji o życiu kulturalnym za granicą łącznie z publikowaniem twórczości oryginalnej współczesnych pisarzy zarówno zachodnich jak radzieckich.

Życzenie trzecie: więcej polemik. (Wyróżniają się tu dwa przeciwstawne poglądy: „trzeba podsumowywać dyskusje" — twierdzą niektórzy, podczas gdy inni czytelnicy, równie liczni, błagają: „nie dawajcie podsumowań, zostawcie czytelnikowi margines dla własnych przemyśleń i wniosków").

Życzenie czwarte: więcej aktualnego reportażu, podejmującego nowe problemy, bezpośrednio ingerującego w życie, notującego nowe zjawiska społeczne. Więcej powiązania z terenem, więcej monografii życia kulturalnego pozastołecznych środowisk i regionów.

Życzenie piąte: więcej dbałości o prosty, zrozumiały dla każdego język krytyki i publicystyki literackiej.

Życzenie szóste: więcej miejsca dla twórczości młodych i — nie wyodrębniając tego świadomie w osobny punkt — więcej starań o to, aby częściej trafiały do „Nowej Kultury" utwory „współczesnych klasyków"

Więcej... więcej... więcej... — na ten jednolity ton nastrojone odpowiedzi w ankiecie nie dają się — niestety — nawet wtedy, kiedy są w pełni słuszne, pogodzić ze szczupłą objętością naszego pisma. Więcej! więcej! więcej! — wołają czytelnicy i każdy z nich z osobna ma rację, kłopoty zaczynają się dopiero wówczas, kiedy trzeba te wołania z sobą zestawić, głębiej zastanowić się nad ich treścią. Bo przecież z układu tych „więcej", z ich proporcji, wynika rzecz najistotniejsza — tzw. profil pisma.

Weźmy na stół operacyjny życzenie pierwsze. „Nowa Kultura" nie może dublować pism specjalnych, wydawanych przez instytuty naukowe, nie może przekształcić się w swoisty „Pamiętnik literacki", „Materiały do badań i dyskusji z zakresu historii sztuki", czy „Pamiętnik teatralny". Monografie literackie zamieszczamy z okazji pewnych rocznic. To jasne. A poza tym historia literatury interesuje nas przede wszystkim wtedy, kiedy autor omawiający pewne zagadnienia z tej dziedziny interpretuje je odkrywczo. Musimy wyraźnie określić tu swoje credo: nie jest zadaniem „Nowej Kultury" uczyć literatury. Rzecz tę pozostawiamy specjalistom - pedagogom w rozlicznych szkołach i uczelniach.

Życzenie drugie — przyjmujemy samokrytycznie. Zgadzamy się, że informacji o życiu kulturalnym za granicą dawaliśmy dotąd za mało, że za mało publikowaliśmy twórczości oryginalnej pisarzy obcych. Przypominamy jednak, że pismo nasze ma za naczelne zadanie być trybuną polskiej literatury.

Życzenie trzecie, czwarte i piąte: do nich wszystkich postaramy się zastosować. Dostosujemy się nawet do obu „wariantów" zwolenników polemik. Będziemy niektóre dyskusje podsumowywać, inne — pozostawiać bez podsumowania. Tutaj żelaznych reguł być nie może. Jedno tylko zastrzeżenie: dyskusja — tak. Ale nie dyskusja dla dyskusji. Dyskusja jest celowa wtedy i o tyle, o ile wnosi jasność tam, gdzie jej dotąd nie było, o ile ujawnia błędność poglądów, które naszą literaturę ciągną wstecz a nie naprzód. Dlatego powinno być zadaniem naszego pisma odróżnianie w dyskusji głosów wnoszących pożądaną jasność od głosów ciągnących dyskusję w ślepą boczną uliczkę, pogłębiających tylko zamęt i dezorientację.

Dużo bowiem dały nam do myślenia głosy tych czytelników, którzy przedstawiając się jako gorący zwolennicy polemik i dyskusji zwracali uwagę na „tajemnicze" podteksty, dowodzenia zbyt zawoalowane metaforami, domyślniki — ponoć nie do odcyfrowania dla *„słabo orientujących się w zakulisowych koteriach i kawiarnianych dyskusjach prowadzonych przy stolikach klubów literatów i dziennikarzy w stolicy"*. Krytyka może być trafna tylko wtedy — zwracali nam uwagę ci czytelnicy — kiedy na poparcie pewnych uogólnień przytaczane są konkretne fakty, zjawiska i nazwiska.

Wiele listów przyrównuje nasze pismo do „Kuźnicy" chwaląc ją za „pryncypialność". Inne listy natomiast chwalą nas za pokonanie ekskluzywności „Kuźnicy", podkreślając *„niesłychanie trudne zadanie, jakie „Nowa Kultura" ma obecnie przed sobą w odróżnianiu od zadań spełnianych w latach minionych przez „Kuźnicę"*. Listy te, porównując rolę naszego pisma do roli oddziału frontowego, nie bez racji dopatrują się trudności redakcyjnych w tym, że *„jest teraz konieczność walki na dwa fronty"*.

Nie chcemy w felietonie ujętym w formę pogawędki rozprawiać zbyt długo, teoretyzować zawile o rzeczach prostych. Proste jest, że znajdujemy się w okresie dyskusji. Znajdujemy się w okresie krytyki błędów przeszłości. Okres paru lat ubiegłych charakteryzowało zacieśnianie pojęcia i kryteriów realizmu socjalistycznego. Literaturę w jej najgłębszej humanistycznej treści określają nie spekulatywne rozważania teoretyczne. Nowe treści pojęcia realizmu socjalistycznego kształtować będzie przede wszystkim sama twórczość. A rzeczą krytyki jest umieć odnaleźć te nowe treści w praktyce literatury wszędzie tam, gdzie się one rodzą. Z młodego drzewa nowych doświadczeń odpadną z pewnością wszyscy wybrzydzający się na realizm socjalistyczny. Do czegóż bowiem są oni zdolni? Na jakim koniku wciąż jadą? Przede wszystkim na negowaniu *hurtem* tego, czego nasza literatura dopracowała się w dziesięcioleciu Polski Ludowej, na samym wytykaniu i wyszydzaniu naszych (zresztą niewątpliwie poważnych) błędów popełnionych w ubiegłych latach, na ciągłym oglądaniu się wstecz.

Pomocne w kształtowaniu tych pojęć o nowej literaturze są niewątpliwie recenzje. O tym, jakie powinny one być, piszą nasi czytelnicy. A więc:

„Wolimy rzeczowe gruntowne recenzje z książek od krótkich szablonowych wzmianek" — tak można by streścić żądanie sporej grupy czytelników, chociaż są i inni (w mniejszości) ganiący nas za długie „kobyły" krytyczne i chwalący dział „Nowe książki". W sprawie tej — według naszego zdania — prawda mieści się pośrodku. Wśród wielkiej ilości książek ukazujących się na rynku wydawniczym tylko te, które wykraczają poza przeciętność (zarówno w sensie dodatnim jak ujemnym) — a jest ich zwykle niezbyt wiele —warte są obszerniejszej analizy krytycznej, artykułów „problemowych", jak to się mówi w redakcyjnym języku. Tylko niewielka stosunkowo liczba książek sprowokować może krytyków do rozważań ogólniejszej natury, do poruszenia kwestii mających znaczenie dla całej naszej twórczości literackiej. Niemniej nie chcemy i nie możemy rezygnować z anonsowania czytelnikom innych książek, nie będących żadnym „wydarzeniem", tyle tylko, że czynimy to w formie krótkich wzmianek. Inna rzecz: czy czynimy to dobrze? Wydaje nam się, że pretensje o „szablonowość" krótkich recenzji biorą się głównie stąd, iż dość często ich autorzy zaciemniają swoje zdanie o książce i w rezultacie czytelnik nie wie co o niej sądzić, nie wie nawet co sądzi o niej dany krytyk. Nie ulega wątpliwości, że nawet krótka recenzja powinna zawierać i pozwala na wyrażenie jasno sprecyzowanego sądu recenzenta. Świadczyć o tym mogą chociażby niektóre recenzje teatralne Boya Żeleńskiego czy Słonimskiego z międzywojennego okresu. (Tak np. Słonimski wsławił się niegdyś *jednozdaniową* recenzją nudnej ale modnej sztuki zapomnianego już dziś zupełnie mieszczańskiego autora francuskiego pt. „Bridge". Recenzja brzmiała: „Byłem pierwszym wychodzącym").

Zwolennikom monografii pisarzy współczesnych, wywiadów z pisarzami, informacji o tym *co i jak* pisarze współcześni piszą — odpowiadamy krótko: nie są słuszne obawy, że z końcem publikowania wypowiedzi „Pisarze wobec dziesięciolecia" zrezygnujemy z podobnego typu publikacji. Doceniamy to w pełni, że zaciekawienie „literacką kuchnią" nie ma w sobie posmaku sensacyjności i niedyskretnego zaglądania przez dziurkę od klucza. Zdajemy sobie sprawę, że informacje monograficzne czy też autobiografie pisarzy umożliwiają lepsze zrozumienie ich dzieł i rozpatrywanie ich nie tylko pod kątem rozwoju „rzemiosła", ale również rozwoju ideologicznego poszczególnych twórców.

„Nowa Kultura" nauczyła mnie właściwie odnosić się do literatury, nauczyła mnie jak i czego należy szukać na bibliotecznych półkach" — pisze Stanisław Pyzdra ze wsi Rujec, a podobnych listów otrzymaliśmy więcej. Cieszymy się z faktu, że wśród czytelników naszego pisma znajduje się spora liczba ludzi, nie wywodzących się ani nie związanych ze środowiskiem tzw. inteligencji. Cieszymy się, że nasze pismo dociera do rąk ludzi, którzy — jak pisze Kazimierz Grzędzicki z Lipna — *„dochodzą dopiero do literatury"*. Listy tego typu nie zawierają jednak samych tylko pochwał. Przeciwnie. *„Gdy pytam niektórych znajomych, dlaczego czytają artykuły z dziedziny sztuki i literatury w „Swiecie" lub „Przekroju" bez zniechęcenia, zaś rzeczy traktujące o tym samym w „Nowej Kulturze" odkładają już po przeczytaniu kilkunastu wierszy — odpowiedź brzmi zwykle w tym sensie: Tam są takie trudne i ciężkie artykuły"* — informuje nas Lucjan Zuzia z Krakowa. *„Terenowi działacze kultury nie mogą znaleźć odpowiedzi na bardzo wiele zagadnień wydawałoby się nie do rozwiązania w praktycznej działalności na ich odcinku. A tymczasem „Nowa Kultura" publikuje długie artykuły recenzyjne na temat ukazujących się powieści. Tak być nie powinno"* — pisze Stanisław Dzierbicki z Niechmirowa.

Tak więc ten typ odpowiedzi na naszą ankietę świadczy pośrednio o braku na rynku wydawniczym popularnego pisma literacko-artystycznego, które by w maksymalnie przystępny sposób wprowadzało swych czytelników w najprostsze zagadnienia literackie i które by stanowiło pomoc dla działaczy kulturalnych w terenie. „Nowa Kultura" — niestety — zadań takich spełniać nie może. Ten sam komentarz powtarzamy pod adresem tych młodych czytelników, którzy pragnęliby widzieć w naszym piśmie stały dział, gdzie mogliby występować początkujący literaci na zasadzie jakiejś taryfy ulgowej. Wielokrotnie omawialiśmy już tę sprawę. Przypomnimy więc tu tylko o tym, że nadal czynione są starania o powstanie pod egidą ZMP pisma młodzieży literackiej i artystycznej.

Na koniec, odnośnie naszej postawy działania, posłużmy się fragmentem wypowiedzi Konrada Broszczyka, który słusznie stwierdza, że *„Nowa Kultura" zdobywa sobie zaufanie społeczeństwa dzięki realizacji programu Frontu Narodowego w praktyce środowiska literackiego i twórczości literackiej"*. Pragniemy nadal postępować w ten sposób, aby skupiać wokół pisma wszystkie pióra — zarówno marksistów jak nie-marksistów. Ale chcemy, żeby pióra te przysłużyły się rozwojowi literatury naprawdę pięknej nie w sensie abstrakcyjnym, ale w tym, o jakim pisze inna z naszych czytelniczek: *„Nowa Kultura" prowokuje do głębszego spojrzenia w codzienne sprawy tak, aby można było niecodziennie wzruszyć się nimi, niecodziennie je przeżyć.* Pragniemy dać naszym czytelnikom możność obcowania za pośrednictwem „Nowej Kultury", z literaturą współczesną, która by pomogła każdemu w codziennej jego pracy, literaturą w której każdy mógłby odnaleźć swoje własne myśli, siebie samego. We wszystkim: i w radosnym, i w smutnym — i w złym, i w dobrym.

(kozab.)

LISTĘ CZYTELNIKÓW WYRÓŻNIONYCH W ANKIECIE PODAMY W JEDNYM Z NASTĘPNYCH NUMERÓW.

Kartki z dziennika lektury

TEMAT

JERZY ANDRZEJEWSKI

W jednym z ostatnich numerów „Expressu Wieczornego" ukazał się duży artykuł o pewnym, wręcz ohydnym zdarzeniu, które miało miejsce w kopalni „Majówka" w Starachowicach. Historia przedstawia się w skrócie następująco: jedna z młodych urzędniczek kopalni starachowickiej, Adela Borowiec, pracująca w charakterze starszego planisty w dziale inwestycji, otrzymała w roku 1953, z okazji Święta Kobiet, dyplom uznania za osiągnięcia w pracy zawodowej, a w lipcu tego samego roku przydzielono jej służbowe mieszkanie. Lecz oto w pół roku później wymówiono Borowiec warunki pracy, przesuwając ją jednocześnie na inne stanowisko z uposażeniem niższym o jedną grupę. W kilka miesięcy potem Borowiec została ponownie przeniesiona na nowe stanowisko, tym razem z uposażeniem niższym o dwie grupy. Przyczyny tej degradacji? Nikt z dyrekcji ani z Rady Zakładowej i Podstawowej Organizacji Partyjnej nie chciał udzielić Borowiec wyjaśnień. Naczelny dyrektor kopalni, Kowalski, ograniczył się do stwierdzenia, że decyzja w tej sprawie wyszła od „czynników odgórnych". Sekretarz Komitetu Miejskiego w Starachowicach obiecał Borowiec zająć się jej sprawą. Nie zajął się, zapomniał. Natomiast w kilka tygodni później Borowiec została przeniesiona na stanowisko telefonistki. Pobory jej, dawniej w wysokości tysiąca siedmiuset złotych, obecnie miały wynosić złotych czterysta pięćdziesiąt. Tym razem Borowiec uległa tajemniczo działającym siłom i rozwiązała swój stosunek służbowy z przedsiębiorstwem.

A oto zakończenie tej historii. U naczelnego dyrektora kopalni odbywa się konferencja. Obecne są cztery osoby: sekretarz KM, dyrektor, kierownik kadr oraz wysłannik „Expressu", do którego Borowiec zwróciła się z prośbą o pomoc. Po skonfrontowaniu faktów dotyczących sprawy Borowiec, kierownik kadr, Jerzy Kubasiński, załamuje się i składa następujące oświadczenie: „Tak, to moja wina — stwierdza. — Ale nie tylko moja. Działaliśmy wspólnie. Co tu ukrywać? I dyrekcja, i Rada Zakładowa, i nawet Podstawowa Organizacja Partyjna. Po prostu chcieliśmy odebrać Borowiec mieszkanie. Odebrać, ale jak? Trzeba było zmusić ją do wymówienia pracy. A więc z grupy V plus premia 0.8 proc. daliśmy jej grupę VI plus premia 0,8 proc. Ale dziewucha była twarda i dalej pracowała bez zarzutu. Obniżyliśmy pobory o dwie grupy bez premii i zrobiliśmy z niej maszynistkę. Ale dziewucha była twarda i odejść z kopalni nie miała zamiaru. No to wreszcie posłaliśmy ją na telefonistkę przy czym miała pracować na trzy zmiany, a więc i w nocy. Wiedzieliśmy że dziewczyna ma chore serce i nie da rady. Tak się też stało. Borowiec dłużej nie wytrzymała. Robotę rzuciła 1 stycznia 1955 roku". A czynniki odgórne, którymi zasłaniał się dyrektor? Owszem, i one maczały w tej historii palce. Kubasiński wręcz zeznał, że sprawę Borowiec referował instruktorowi KM, aby się „na wszelki wypadek zaasekurować". Instruktor Dębski polecił Kubasińskiemu działać konsekwentnie aż do zmuszenia Borowiec do rezygnacji.

Jestem jak najdalszy od twierdzenia, że ludzie, którzy w tak misterny i przemyślny sposób osaczyli młodą, dobrze pracującą dziewczynę, są typowi dla naszego społeczeństwa; że właśnie tacy jak Kowalski są nasi dyrektorzy przedsiębiorstw, tacy kierownicy kadr i takie jak starachowicka — organizacje partyjne. Gdybym miał jednak z ręką u serca odpowiedzieć na pytanie, czy w tym wyjątkowo obrzydliwym zdarzeniu nie doszły do głosu pewne ciemne cechy ludzkich charakterów, także przecież typowe dla naszego czasu — nie śmiałbym zaprzeczyć. Egoizm, brutalność, cynizm, nieliczenie się z drugim człowiekiem? Oczywiście, można wymienić prócz tych i wiele jeszcze innych złych ludzkich właściwości ujawnionych w całym tym zdarzeniu. Lecz nie one wydają mi się szczególnie groźne i niepokojące. Groźny i niepokojący wydaje mi się zupełny zanik u tych ludzi podstawowych instynktów moralnych. Gnój moralny i na pewno również gnój światopoglądowy.

Jest moim głębokim przekonaniem, że istota zwana człowiekiem, nigdy nie posiada dostatecznych racji, aby popaść w krańcową rozpacz. Wielki nurt nadziei, jaki toczy się poprzez wieki gwałtów i krwi, cierpień i szaleństw, nie jest tylko kształtem naszych pragnień i tęsknot. To ludzie tworzyli i tworzą ten nurt. Śmiem też twierdzić, że jeśli w tym co pisałem wczoraj i piszę dzisiaj pobrzmiewają często akcenty cierpkiego pesymizmu, to przecież ci, którzy mają słuch, wychwycą, że tym moim gorzkim słowom, jak echo zawsze wierne wołaniu, towarzyszy tchnienie elementarnego optymizmu oraz wiary w niezniszczalną i wciąż się odradzającą godność ludzkiego umysłu i serca. Dlatego nie rozmiłowanie w czarnym krakaniu, lecz właśnie wiara w człowieka skłania mnie do upartego przeświadczenia, że powinniśmy — przede wszystkim pisarze — o tysiąckroć odważniej i wnikliwiej niż dotychczas zastanowić się nad złożonymi przyczynami wielu naszych klęsk moralnych. Co u nas jest złe i przeciwne człowiekowi? Co w kształtującym się u nas stylu życia skrzywia ludzi i wypacza? Gdzie i w czym szukać przyczyn, że słusznie odrzucając wiele ze starej moralności ponosimy jednocześnie tak ogromne straty przy budowaniu moralności nowej? Jakie zło narosło na godziwych generalnie zasadach? Ile jest naszych win, że kilkunastu ludzi żyjących w ustroju, który chce służyć człowiekowi, nie cofnęło się przed zbrodnią moralną dla uzyskania pokoiku z kuchnią? Sto, tysiąc pytań! Każde wielkim tematem.

Jerzy Andrzejewski

SALOMON ŁASTIK

Na tematy przeważnie dydaktyczne (I)

Goszcząc w szkołach znanych mi z poprzednich lat, odniosłem wrażenie, że widniej zrobiło się w klasach. Z mroku formułek i sloganów, które tak wszechwładnie królowały jeszcze w ubiegłym roku, nietrudno było spostrzec tu i ówdzie kontury prawdziwej lekcji literatury, dało się uchwycić wzruszenie u uczniów, a na niektórych lekcjach piszący te słowa był do głębi wzruszony bogactwem treści i przebiegiem zajęć.

Czemu przypisać te dodatnie zmiany? Niewątpliwie zmianom programowym spowodowanym dyskusją. By unaocznić chociażby skrótowo charakter tych zmian, przytoczę kilka zestawień „wytycznych" programowych z poprzednich lat z obowiązującymi w bieżącym roku szkolnym.

Wyspiańskiemu w dawniejszym programie dla XI klasy poświęcono 2 godziny lekcyjne, przy tym miano omówić w ciągu tych 90 minut aż dwa utwory: „Warszawiankę" i „Wesele". Teraz zaś maturzyści mają omówić tylko „Wesele" i wiersz „Niech nikt nad grobem mym nie płacze" w ciągu 3 godzin lekcyjnych. Czy tylko na tym polega zmiana? Nie! Program przede wszystkim wskazuje teraz na wartości kształcące i nowe, które autor „Wesela" wniósł do literatury.

Jak polecano ująć twórczość Wyspiańskiego jeszcze w ubiegłym roku? Oto dosłowne brzmienie programu: „Nowatorskie formy dramatyczne i teatralne. Pozornie rewolucyjna krytyka społeczeństwa ograniczona w istocie do ukazywania zewnętrznych przejawów ludomanii mieszczańskiej. Zacieranie obrazu rzeczywistych konfliktów klasowych połączone z poszukiwaniem solidarystycznych mitów narodowych. (Podkreślenia moje S. Ł.).

Jak widzimy Wyspiańskiego niezbyt oszczędzono i właściwie wystawiono go na urągowisko... A teraz? Teraz program poleca omówić „osiągnięcia Wyspiańskiego w dziedzinie dramaturgii". Wykazać uczniom, że „obok niejasnych symbolów" autor daje „realistyczny obraz sprzeczności ideowych i kulturalnych między inteligencją i chłopstwem". „Krytyczny sąd o inteligencji mieszczańskiej", „elementy buntu przeciwko panującej moralności i obyczajom".

Nie trudno więc stwierdzić, że w ciągu roku dzielącego nas od dyskusji Wyspiański coś niecoś zyskał. W każdym bądź razie znikły z programu „pozorna rewolucyjność", ograniczanie się do „zewnętrznych przejawów ludomanii", zarzuty zacierania obrazu i tworzenia solidarystycznych mitów, które może rzeczywiście tu i ówdzie obciążają twórczość Wyspiańskiego, osłabiając siłę oddziaływania, ostrość postawionych problemów, nie powinny jednak przesłonić tego faktu, że szkoła ma za zadanie przede wszystkim podkreślić to co jest piękne i wielkie u danego autora, nie zamykając zresztą oczu na te czy inne słabe strony danego pisarza. Każdy nauczyciel wie, że wobec klasy nie wolno na tablicy utrzymywać błędnie napisanego tekstu, by w oczach uczniów nie utrwalił się fałszywy obraz danego wyrazu. Zasada ta obowiązuje również w literaturze. Więc nie na ujawnianiu braków i niedociągnięć wybitnego twórcy trzeba skupić uwagę uczniów, lecz przede wszystkim na tym co jest wychowawcze, wzniosłe, piękne i wzruszające. Do tej tak prostej zasady instrukcja programowa dopiero wraca i to bardzo jeszcze chwiejnym krokiem. Mimo to zwrot ten w niektórych wypadkach zmienia niemal kompletnie oblicze danego pisarza.

W starej wersji programowej „Chłopi" Reymonta nie posiadali właściwie ani jednej cechy dodatniej. Tuż po skonstatowaniu że są to „epickie obrazy wsi" następował szereg ciężkich zarzutów, jak to: „jednostronna, naturalistyczna koncepcja życia chłopskiego, wyolbrzymienie czynników biologicznych, pominięcie decydującego oddziaływania społecznej struktury wsi na losy chłopów". Gdy ponadto dodamy, że na wstępie program polecał ujmować „ludomanię" jako „ukrytą niechęć do postępowych ruchów chłopskich" i proponował wskazać na „wsteczny charakter tej ideologii w okresie kiedy czołową siłą postępu jest ruch robotniczy" — stanie się jasnym jak dalece „Chłopów" roztarto w drobny maczek...

A oto jak „Chłopi" wyglądają w nowej instrukcji programowej:

„Wielka wartość poznawcza powieści, dokładne odzwierciedlenie życia na wsi polskiej na przełomie wieków. Realizm powieści (mimo naturalistycznego wyolbrzymienia wpływu przyrody na życie ludzkie). Ukazanie sprzeczności wewnątrz wsi, obserwacje na temat codziennego bytowania chłopa, jego pracy i obyczajów, olbrzymie bogactwo realiów, zindywidualizowanie wielkiego zespołu postaci; plastyka opisów przyrody, ich znaczenie jako niezbędnego tła dla losów ludzkich, rozmaitość stylów (od epickich opisów do scen lirycznych)".

Można się sprzeczać, czy opisy epickie i sceny liryczne należą do różnych „stylów", ale jest rzeczą bezsprzeczną, że „Chłopi" ożyli i zmienili się nie do poznania. Gdy dodamy, że zamiast wyznaczonych w dawniejszym programie 3 godzin na omówienie Reymonta łącznie z Orkanem, w nowej instrukcji sam Reymont jest przedmiotem analizy na 5 godzinach, stanie się jasne jaki postęp zrobiliśmy w walce o przywrócenie literaturze godnego jej miejsca w szkole, przywrócenie jej cech kształcących, umożliwiających uczniowi poznanie i życie się z utworem i wchłonięcie tego piękna i wartości poznawczych, stanowiących istotę każdego wartościowego utworu literackiego.

Można by prześledzić całą instrukcję dla klas VIII—IX i wykazać jak bardzo przywrócono naszym wybitnym twórcom ich zasługi i wartości. Jak przestano np. besztać Żeromskiego za „żeromszczyznę", za „ideologię ofiarnictwa" „utopijność" i to besztać w pośpiechu, bo w ciągu 8 godzin, i jak nadano zasłużoną rangę autorowi, który wstrząsał sumieniem narodu. Bo te 20 godzin przeznaczonych na omówienie czołowych jego nowel i powieści mają za zadanie odsłonić wysokie walory poznawcze, patriotyczne jak i wielką wartość artystyczną wymienionych w programie utworów.

Czy te zmiany na lepsze cechują cały program literatury polskiej? Na razie nie.

Co prawda twórczość Zofii Nałkowskiej i Marii Dąbrowskiej nie figuruje już pod podpunktem b) mówiącym o „nurcie psychologiczno-naturalistycznym". Co prawda każda z naszych wybitnych prozatorek zyskała po jednej godzinie lekcyjnej. Ale i takie ustępstwo nas zadowolić nie może. Bo 2 godziny dla

(Dokończenie na str. 7)

ROMAN KARST

Fryderyk Schiller

W 150 ROCZNICĘ ŚMIERCI

W losna 1955 roku przynależy pamięci Schillera. W tych dniach niemieckiego poetę przypomną w Polsce edycje jego dzieł, nie zabraknie też zapewne essayów i studiów o autorze „Don Carlosa". Nie będziemy więc pomnażać tych cennych prac o jeszcze jedną rozprawę. Niechaj nam będzie wolno tym razem zajrzeć do niewielkiego pokoju, w którym Schiller siedzi pochylony nad biurkiem, w szlafroku, przy filiżance czarnej kawy, w ciemności rozjaśnionej nocnym światłem — i pisze listy do matki, znajomych i przyjaciół. Spróbujmy także przywołać jego postać widzianą oczami najbliższych mu osob, które patrzyły na jego rozterkę.

Trudno wyobrazić sobie z jaką niesłabnącą siłą zwierzenia i tajemne skargi Schillera — bo czymże są listy poetów? — przekazują nam dziś, po stu przeszło latach, udrękę i wzruszenia pisarza. W listach Schillera gorycz i nadzieja owej doby zastygły w nieskazitelnym kształcie, czas oddał je nam bez zmian dla rozwagi i nauki.

Niełatwo układają się w wyobraźni kontury postaci. Portrety Schillera malowane przez Hetscha, Graffa, Ludwikę Simanowiz bądź popiersie dłuta Danneckera nie dają jednolitego pojęcia o powierzchowności pisarza. Relacje przyjaciół są także sprzeczne. Porównajmy ze sobą dwa wspomnienia. Kiedy żona Körnera [1]), najwierniejszego z przyjaciół Schillera, po raz pierwszy zobaczyła poetę, była porażona jego nieśmiałością: „Jakżeż byliśmy niepomiernie zdumieni, kiedy nam Huber [2]) przedstawił jasnowłosego, niebieskookiego, nieśmiałego młodzieńca, któremu łzy stały w oczach i któremu ledwo starczyło odwagi, by do nas przemówić". W kilka lat później (1790) duński pisarz Baggesen [3]), wielce Schillerowi przyjazny, oglądał w Dreznie portret pędzla Graffa i takie odniósł wrażenie: „Schiller ma coś nadludzkiego w swoim nie do odparcia ostrym spojrzeniu. Jego twarz jest niemal zmysłowo piękna, jego falujące żółte włosy użyczają mu czegoś apollińskiego. W jego ustach jest nieco wzgardy, wydaje się on nie przynależeć ziemi i ma w sobie coś heterogenicznego".

Który z tych opisów jest prawdziwy? Czy ten, co wyobraża Schillera z oczami łzą zamglonymi, czy ten, co go maluje ze wzrokiem ostrym i nieubłaganym? Wydaje się, że obie podobizny są wierne. I oto już na samym wstępie wkraczamy w sferę owej „heterogenii", o której mówi Baggesen. Miękkie oczy Schilera umiały twardo patrzeć na świat. W jego spojrzeniu gościły łzy i błyskawice. On, który wydawał się nie przynależeć ziemi, najlepiej chyba z niemieckich pisarzy przejrzał życie swojego czasu i właśnie rozdźwięk pomiędzy subiektywną wizją świata a rzeczywistością stał się nierozwiązalnym dylematem jego twórczości. Był poetą, który pragnął szczęścia i wolności, ale nigdy nie czuł się szczęśliwy ni wolny. Każda jego myśl krążyła wokół Niemiec, a jednak otaczała go w tym kraju samotność.

Samotność wkrada się w życie Schillera już w jego młodości i towarzyszy mu wiernie do grobu. Osamotnienie rozpoczyna się w wojennej szkole księcia wirtemberskiego Karola Eugeniusza, w której umieszczono 13-letniego chłopca wbrew zgodzie jego i jego rodziców. Ojciec Fryderyka, Johann Gaspar Schiller, był tylko wojskowym felczerem, a potem oficerem werbunkowym, i musiał poddać się woli „starego Heroda", jak poeta nazwał księcia. Opiece despoty położyła kres ucieczka Schillera ze Stuttgartu, przedsięwzięta pod osłoną nocy w towarzystwie muzyka Streichera [4]). Schiller był już wtedy autorem „Zbójców" i musiał ponieść konsekwencje owego „groźnego trybunału" sztuki, przed który powołał powaśnione stany, aby wydać wyrok na korzyść mieszczaństwa. I nigdy później nie było już lepiej, nawet w Weimarze, gdzie panował oświecony protektor Goethego. Kiedy w pięć lat po swojej ucieczce pisarz wysiadł z bryczki w stolicy niemieckich muz, czuł — i dano mu odczuć — że jest mieszczaninem, którym się gardzi. W liście do Hubera z jesieni 1787 roku dochodzi nas skarga: „Że nie ubiegam się o to, by być jej przedstawiony (Schiller ma na myśli księżnę Weimaru), uznasz za słuszne, gdy ci powiem, iż nie oczekuje się tego. Uczynić to bez tego byłoby śmieszne, zwłaszcza że nie mam garderoby, by udać się na dwór, że nie jestem stworzony dla tego świata, że musiałbym jako nic nie znaczący człowiek ze stanu mieszczańskiego grać śród szlachty nader podrzędną rolę, która by zadała ból mojej dumie; mógłbym zatem z nią rozmawiać jedynie przy herbatce i nigdy sam".

Początek i cały kierunek drogi Schillera różnią się całkowicie od wędrówki Goethego. Autor „Egmonta" urodził się w majętnej rodzinie patrycjuszowskiej wolnego miasta Frankfurtu. Z pochodzenia, majątku, towarzyskiej pozycji należał do elity swojego rodzinnego miasta. „Jego społeczna droga — jak pisze Greiner — nie wiedzie do góry, lecz już rozpoczyna się w górnych regionach". Toteż Goethe nigdy nie doznawał tak bolesnego uczucia społecznej niepewności jak Schiller, a samotność autora „Fausta" była w dużej mierze odmienna od samotności Schillera. Twórca „Zbójców" cierpiał i buntował się, urażony w swoich społecznych prawach, w swojej ludzkiej dumie. Samotność Goethego zabarwiało poczucie wyższości nad miernym otoczeniem: „Cała istota geniuszu w tym, że ludzie zezwalają mu na to, na co sami sobie nie pozwalają, a mianowicie być niekiedy tym, czym chce i ma ochotę być".

Dopiero w trzy lata przed śmiercią Schillera uznano poetę godnym, by wkroczył na salony dworskie, obdarzając go szlacheckim tytułem. Ten akt wyprzedziła jednak o dziesięć lat nobilitacja przynależna Schillerowi - pisarzowi i rewolucjoniście. Konwent Narodowy w Paryżu przyznał mu godność niezwykłą — tytuł honorowego obywatela republiki, która powstała na gruzach Bastylii.

Gorycz samotności pomnażały codzienne troski, które kładły „ołów na każdy lot natchnienia". Skoro już zajrzeliśmy do pokoju poety, niech wolno będzie o nich przypomnieć. Najstraszniejsze z nich były niedostatek i choroba. Wlokły się one za nim jak kula u nogi. Ubóstwo prześladowało go niemal do końca, choroba trzymała go w swoich szponach trzydzieści dwa lata. Niektóre zwierzenia o tym wzruszają, inne budzą grozę.

Oto Weimar anno 1787. Jest listopad i chłód zaczyna dotkliwie dokuczać. Schiller siedzi przy biurku i kreśli list do Hubera, krótki, ale jakże wstrząsający. Pismo składa się z trzech zdań: „Twój płaszcz niebawem otrzymasz. Chciałem ci zań zapłacić, aby zwolnić się od kłopotów transportu, ale nie mam teraz zbytecznych pieniędzy. Muszę zatem obyć się tej zimy bez płaszcza".

Po trzech latach zastajemy poetę w sali wykładowej Uniwersytetu Jenajskiego, gdzie wykłada historię. Baggesen notuje wówczas w pamiętniku: „Ma on tylko 200 talarów rocznej pensji, a potrzebuje rocznie ponad 2000 talarów — jako że musi żyć elegancko (jego słaba strona). Z tego powodu musi pracować jak koń, od rana do wieczora. Ma niewielu słuchaczy [5]), gdyż nie ma daru ani cierpliwości do wykładania — jest też uzależniony od naciskającego wydawcy — i tonie w rosnących wciąż długach..." Owszem, lubił się Schiller nosić elegancko, ale tej słabości rzadko kiedy mógł zadość uczynić. Wśród jego korespondencji znajdujemy adresowane z Drezna do pani Kunze w Lipsku pismo, w którym czytamy: „Chciałbym mieć dla fraka sukno z Lipska, jako że tam będę je mógł, mam nadzieję, dostać po tańszej cenie. Będzie pani tak dobra kupić je. Couleur de Rammoneur jest mi najmilszy. Cena za łokieć winna wynosić od trzech do czterech talarów, drożej niż po cztery talary nie chcę".

Stokroć gorsza od nędzy była choroba. O cierpieniach Schillera daje wyobrażenie wzmianka Streichera z roku 1783: „Do tego budzącego trwogę i pełnego męki stanu przyłączyła się także potem zimna gorączka, która zwłaszcza gdy się zaczynała, przynosiła ze sobą wszystkie męki Tantala..." Od roku 1791 Schiller tworzy już w cieniu śmierci. Boryka się ze swoim „katarem", który rozwija się w niedomaganie płuc, i pisze między jednym atakiem a drugim. Jest to walka pomiędzy wolą i śmiercią. W tych warunkach powstają: „Historia wojny trzydziestoletniej", pisma estetyczne, ballady, tryptyk sceniczny o Wallensteinie, „Maria Stuart", „Narzeczona z Messyny", „Wilhelm Tell", nie licząc pomniejszych lub niedokończonych utworów. Najwspanialsze z dramatów literatury światowej powstały w gorączce fizycznego cierpienia i pracy, która — pod względem natężenia i intensywności — nie zna sobie równej.

Pomimo choroby Schiller nie oszczędzał się, pracował gorączkowo, jak gdyby chciał wypowiedzieć się do ostatka przed zbliżającym się kresem. W liście do Körnera (1796) von Funk relacjonuje, że Schiller pochłonięty pisaniem, miesiącami nie wychodził z domu. Nocami krążył po pokoju, prowadząc ze sobą nie kończące się dialogi, zmagał się z myślami, spalając się nerwowo: „Widać w jakim ustawicznym napięciu żyje i jak bardzo duch tyranizuje w nim ciało, gdyż każda chwila duchowego osłabienia wywołuje w nim cielesną chorobę". I w tej mierze Schiller był antytezą Goethego, który z rozwagą umiał odmierzać czas i kierować swoją twórczą namiętnością. „Moim porządkiem dnia — pisał minister Weimaru do Antonii Brentano — rządzi maksyma: trzeba siebie samego oszczędzać w czasach, w których nic nie jest oszczędzane, i jak Diogenes przetaczać swoją beczkę tam i z powrotem pośród powszechnego zwątpienia". Twórczym żywiołem Schillera rządziło prawo niepokoju. Sąsiedzi często widzieli nocą w jego gabinecie światło i błąkający się za firankami cień, krążący niby wahadło zegara. Niespokojny, trawiony gorączką ducha i ciała, przemierzał poeta ogromne światy w swoim małym pokoju:

Minęła noc, a po niej dzień,
Spoczynku nigdy nie zaznałem...

Proces poprzedzający powstanie dzieła trwał u Schillera długo. Tę fazę pracy wypełniała wszechstronna lektura, dyskusje z przyjaciółmi, studia, listowna wymiana zdań i nieustanne rozważania. Z relacji Goethego wiemy na przykład, że po powzięciu zamiaru napisania „Wilhelma Tella", Schiller pokrył ściany swojego gabinetu mapami Szwajcarii, które zebrał ze wszystkich dostępnych mu zbiorów i przewertował opisy podróży po tym kraju, by dokładnie poznać ścieżki i przełęcze tych okolic, w których walczyli powstańcy. Wielokrotnie przeżywał każdy dialog i epizod utworu, postacie i sceny wyłaniały się z tysięcznych wątpliwości. „Wszystko co zamierzał przedstawić — wspomina Gruber [6]) — wpierw całkowicie opracowywał w myśli, zanim napisał choć jeden wiersz..." Samo pisanie, jeśli mierzyć je czasem, trwało stosunkowo niedługo. Ten końcowy okres kształtowania się dzieła wypełniała jednak intensywna, nie przerywana dniem i nocą praca. „Wilhelma Tella" autor pisał sześć tygodni, ale ileż energii twórczej pochłonęły te dni. „Dosłownie biorąc — podaje Goethe — nie wstał wcześniej z miejsca, zanim Tell nie był gotowy. Kiedy zmęczenie go napadało, opierał głowę o ramię i zasypiał. Gdy tylko się budził — kazał sobie przynosić — nie, jak to błędnie o nim powtarzano, szampana — lecz mocną kawę, aby zachować rześkość. Takim sposobem Tell był gotowy w sześciu tygodniach; ale też jest jakby z j e d n e j b r y ł y!" Z niepojętą wytrwałością i uporem szlifował Schiller diamenty swojej sztuki, ścierając z nich najdrobniejsze skazy. „Główna rzecz — pisał do Körnera — to pilność, albowiem daje ona nie tylko środki do życia, lecz użycza mu także jego jedynej wartości".

Ów spokojny dystans dzielący Goethego od jego literackiego tworzywa zanikał w żarze schillerowskiej pracy. „Było całkiem sprzeczne z jego naturą — pisze Streicher — o czymś myśleć powierzchownie. Wszystko musiało być wyczerpane, wszystko do końca doprowadzone. Dlatego jego myśli zajmowały się tak długo jakimś planem, aż bądź tracił nadzieję uzyskania skutecznego wyniku, bądź też jego siły się wyczerpywały, a on potem, aby ich całkowicie nie nadwerężyć, przechodził do czegoś innego. Jego wrażliwość na poetyckie przedmioty dochodziła do niewiarygodnych granic. Z tego powodu był zarazem wciąż żarzącym się, jedynie lekkim popiołem przesypanym węglem. Jeden powiew i węgiel miotał iskry".

Te iskry szybko strawiły jego wątły organizm. Schiller nie potrafił jednak inaczej żyć i tworzyć. Pisał w gorączce i w rozterce ducha, ale pamiętać należy, że głównym źródłem jego niepokoju był przede wszystkim ów czas burzliwy, który przynosił Niemcom nadzieję i rozczarowanie. Schiller czuł się każdą myślą i każdym odruchem serca odpowiedzialny za losy swojego narodu, skazanego na najcięższą niedolę. Zdawał sobie sprawę, że w morzu „niemieckiej mizerii" literatura stała się jedynym światłem, które wskazywało drogę w ciemnościach. Rozniecał bez przerwy ten płomień, spalając w nim swoje własne siły.

Cenił nader piękno i kształt słowa, ale jak trafnie powiedział Humboldt [7]) „był nie tylko twórcą, lecz także sędzią i domagał się rachunku od poetyckiej działalności w dziedzinie myśli". Był myślicielem i bojownikiem, który widział w twórczości oręż walki. Nie płonął jak Dante ogniem proroczej namiętności, nie miał jak Goethe przeświadczenia o swojej potędze ani olimpijskiej równowagi ducha, nie roztaczał wokół siebie jak Byron aury romantycznego heroizmu. Był na swój sposób wielki i niedościgniony. Schiller powraca do nas jako nieznużony i wieczny poszukiwacz prawdy, której życzył sobie i swojemu narodowi. Jego dzieła są zwierciadłem niemieckiego dramatu, który poeta codziennie przeżywał od nowa. Lavater [8]) nazwał go „człowiekiem wielostronnych doświadczeń" (vielseitiger Prüfer) i żaden chyba z niemieckich pisarzy nie zasłużył bardziej na to miano. Schiller nieprzerwanie drążył zagadkę ludzkiego istnienia i sztuki, wciąż konfrontował siebie z epoką, sprawdzał swoje myśli z wydarzeniami historii i z racjami innych myślicieli. „Co osiem dni — mówił o nim Goethe — był inny i doskonalszy; za każdym razem, kiedy go widziałem, wydawał mi się zaawansowany w oczytaniu, wiedzy i w sądach". Był poetą przemian, pragnienie prawdy nie dawało mu spoczynku, pobudzało go do wiecznych poszukiwań i rodziło dzieła, które wiecznie przetrwają. Nikt dobitniej od Schillera nie dowiódł wielkości słów, które on sam skierował do artystów:

Wam powierzono godność ludzkości —
Strzeżcie jej!

W rok po śmierci Schillera, jego żona wspominała go słowami: „Jego serce, jego miłość objęła świat, który dostrzegł...". Świat ogarnięty spojrzeniem poety miał rozległe granice. Akcja jego utworów toczyła się, nie mówiąc o Niemczech, w antycznej Grecji, we Włoszech, w Hiszpanii, w Niderlandach, w Anglii, we Francji, Szwajcarii, Polsce, Rosji. Wędrując myślą po tych krajach, poeta miał jednak zawsze przed oczami Niemcy. Chciał Niemców wyrwać z odrętwienia, przekazać im swoją nadzieję i swój gniew. Fiesko i Gianettino Doria, Filip II i Alba są ostrzeżeniem przed niemiecką tyranią. Verrina, Dziewica Orleańska, Stauffacher i Tell pobudzają do walki o wolność niemiecką. Głos potępienia w „Fiesku": „Despota Genui musi paść" i głos wolności w Tellu: „Chcemy być jednym narodem braci w potrzebie każdej razem stać" — trafia w sedno niemieckiego sporu, który dojrzał w epoce pisarza.

Ale i tutaj czuł się Schiller osamotniony. Był jak potężne drzewo, któremu zabrakło słońca i powietrza. W rozbitym na trzysta państewek państwie, rządzonym przez tępych despotów, zamieszkałym przez gnębiony lud i tchórzliwe mieszczaństwo, jego słowa nie znalazły szerokiego echa. „Tak więc Schiller — przypomina Karolina von Wolzogen [9]) — stał samotny w świecie, wsłuchany jedynie w dźwięk wielkiej natury w swoim wnętrzu, który odbijał się echem w głosie narodu". W liście do Reinwalda [10]) zwierzał się poeta w godzinie smutku: „Samotność, niezadowolenie z mojego losu, zawiedzione nadzieje a może i zmieniony tryb życia zmąciły, jeśli mi wolno tak rzec, dźwięk mojego usposobienia i rozstroiły czysty zazwyczaj instrument moich doznań". To zwierzenie, podszepnięte rozgoryczeniem, jak gdyby antycypuje przyszłą ewolucję Schillera. Przelotne przebłyski radości nie mogły już potem stłumić rozczarowania: „Łzy tylko dała mi krótką wiosna".

Myśli Schillera przeszył — niby ostry cierń — dylemat, którego istotą stał się rozdźwięk między marzeniem o swiecie a rzeczywistością. Na tym tle ukształtowało się pojęcie prymatu sztuki nad życiem, ideału jako przeciwwagi obiektywnego świata. To, czego poecie odmówiło życie, powierzył on opiece sztuki, tam gdzie zawiodła rzeczywistość, rozpoczęła się droga do kantowskiego „królestwa pięknej ułudy". Idealistyczna wizja Schillera nie była kapitulacją, lecz następstwem — jednym z wielu — niemieckiej historii, która nie potrafiła się zdobyć na rewolucję burżuazyjną. Dylemat Schillera to dylemat jego epoki. Jej sprzeczności doprowadziły w końcu do tego, że honorowy obywatel Republiki Francuskiej zajął — po dojściu jakobinów do władzy — wrogą postawę wobec rewolucji.

Mimo to Schiller do końca życia pozostał w sferze oddziaływania francuskiego Oświecenia i rewolucji francuskiej. Świadczy o tym dobitnie nawet jego ostatni dramat „Wilhelm Tell". Filozoficzny idealizm poety, który tak wyraźne piętno odcisnął na systemie estetyki, nie przytłumił buntu społecznego w jego twórczości artystycznej. Lira Schillera — choć już nie wydawała tak gniewnych tonów jak w młodości pisarza — nadal rozbrzmiewała skargą, która dopominała się o dolę uciemiężonych. I jeszcze jedno: wzrastające rozgoryczenie i odraza do otaczającej go rzeczywistości nie odebrały Schillerowi wiary w przyszłość niemieckiego narodu. W utworach jego żyła nadal tęsknota ludów, które biły się o wolność.

Roman Karst

[1]) Körner Christian Gottfried (1756—1831). Krytyk literacki, wieloletni przyjaciel Schillera. Autor „Zbójców" korespondował z nim do ostatnich chwil swego życia.

[2]) Huber Ludwig Ferdinand (1764—1804). Pisarz i krytyk, autor dramatów, z których większość poszła w zapomnienie. Był przyjacielem Schillera.

[3]) Baggesen Jens (1764 — 1820). Duński pisarz, tworzył również po niemiecku. Był gorącym wielbicielem Schillera.

[4]) Streicher Andreas (1761—1833). Muzyk. W roku 1782 uciekł z Schillerem ze szkoły księcia Karola. Napisał wspomnienia pt. „Ucieczka Schillera z Stuttgartu".

[5]) W owym czasie pensja profesorów składała się z opłat wnoszonych przez studentów.

[6]) Gruber Johann Gottfried. (1774—1851). Historyk literatury, autor monografii o Herderze, Wielandzie i Klopstocku.

[7]) Wilhelm v. Humboldt. (1767—1835). Pruski mąż stanu, językoznawstwa i teoretyk sztuki. Cytat wg jego rozprawy „O Schillerze i biegu jego rozwoju umysłowego".

[8]) Lavater Johann Kaspar. (1741—1801). Szwajcarski pisarz i teolog.

[9]) Karoline von Wolzogen. (1763—1847). Siostra żony Schillera. Autorka dwutomowych wspomnień o Schillerze, z których cytuję.

[10]) Reinwald Wilhelm Friedrich Hermann. (1737—1815). Zaprzyjaźnił się z Schillerem w czasie jego pobytu w Bauerbach (1782—1783). Poślubił potem jego siostrę Christphinę.

FRYDERYK SCHILLER

Przełożył **Adolf Sowiński**

METAFIZYK

„Jakże świat u stóp moich ułożył się nisko!
Ledwie widzę, jak w dole ludkowie się roją!
Aż pod sam namiot niebios wzbił osobę moją
kunszt mój w y ż s z y niż wszystko!"
Tak woła dekarz stojąc gdzieś na wieży szczycie,
tak woła karzeł - olbrzym — jego imię
Jaś Metafizyk — w domu przy pulpicie.
Powiedz no, karle - olbrzymie,
s k ą d ż e się wzięła, g d z i e ma fundamenty
ta wieża, z której patrzysz wniebowzięty?
Jakeś wszedł na nią? Czyż nagie wyżyny
Nie są tam po to, abyś spoglądał w doliny?

PIOSENKA O PONCZU

Czterech żywiołów
wewnętrzny ład
kształtuje życie
buduje świat.

Musisz gwiaździstą
cytrynę zgnieść,
cierpka jest życia
najgłębsza treść.

Zalej łagodnym
syropem tak,
byś zmniejszył cierpki,
palący smak.

Lej teraz wody
pienisty kłąb,
spokojnie woda
ogarnia głąb.

Więc krople d u c h a
lej aż do dna,
bo życie życiu
duch tylko da.

Nim woń uleci,
kompanię pój,
krzepi nas tylko
płonący zdrój.

ROUSSEAU

Monumencie hańby nad epoką,
ty, co Francję zawstydzasz głęboko,
grobie Rousseau'a, przed tobą się chylę!
Pokój, cisza niech proch twój ogarną,
bo szukałeś pokoju na darmo,
aż znalazłeś go tutaj w mogile.

Kiedyż gnić stare rany przestaną?
Za dni mroku mędrców zabijano,
jaśniej już, a mędrca łotr morduje!
Niósł sofista śmierć Sokratesowi,
Rousseau'a gubią słudzy Chrystusowi,
kiedy ludzi spośród nich werbuje.

Z „KSENII"

DO POETY

Język — jak ciało w miłości — niechaj służy ci po to,
by — chociaż dzieli istoty — łączył istotę z istotą.

FORUM PAŃ

Nie sądźcie luźnych czynów mężczyzny, o panie,
lecz o samym mężczyźnie wypowiedzcie zdanie.

WSPÓLNY LOS

No cóż, nienawiść żywimy, dzielą nas pasje, ideje,
a tu pukiel twóch włosów tak samo jak mój bieleje.

OBECNE POKOLENIE

Zawsze tak było? Zrozumieć czas nasz próżno się staram:
tylko starość jest młoda, a młodość jakże — ach — stara!

9 maja i później

(Dalszy ciąg ze str. 1)

skończyły się na tym, że konferencja narodów Azji i Afryki w Bandungu wypowiedziała się jednomyślnie za rozwojem stosunków gospodarczych między wszystkimi krajami - uczestnikami konferencji. A przecież w konferencji banduńskiej uczestniczyły rządy takich krajów, jak Turcja, Irak, Filipiny czy Syjam, które politycznie, gospodarczo i wojskowo związane są ze Stanami Zjednoczonymi.

Konferencja banduńska była wyrazem przemożnego i nieodwracalnego procesu wyzwalania się narodów Azji i Afryki spod kurateli i dominacji mocarstw kolonialnych. Jednocześnie zaś konferencja ta zaświadczyła o rosnącym znaczeniu państw socjalistycznych we współczesnym życiu i rozwoju historycznym, o rosnących możliwościach współpracy między krajami socjalistycznymi a krajami, które w przeszłości były lub jeszcze teraz są koloniami czy półkoloniami.

Utrudnia to, rzecz jasna, swobodę działania kierowniczych państw świata kapitalistycznego. Po drugiej wojnie światowej — równolegle z przekształceniem się szeregu krajów azjatyckich w niezależne politycznie państwa burżuazyjne — zaczęło się z dużą siłą przejawiać w Azji prawo nierównomiernego rozwoju kapitalizmu. Warstwy rządzące w tych krajach, w szczególności burżuazja, zdecydowanie dążą do maksymalnego rozszerzenia swojej sfery działania i rozwoju wbrew interesom i kosztem interesów wielkich zachodnich monopoli kapitalistycznych. Azjatycka narodowa burżuazja dąży z całą świadomością do uprzemysłowienia swych krajów i odrzuca rolę bazy surowców i półsurowców, jaką wyznaczyły tym krajom ośrodki dyspozycyjne światowego imperializmu.

Sytuacja wspomnianych grup rządzących w Indiach czy w Indonezji jest tym bardziej ułatwiona, że nie są one zdane na łaskę i niełaskę kapitału amerykańskiego czy zachodnio - europejskiego. Wobec istnienia obok światowego rynku kapitalistycznego również rynku socjalistycznego — gospodarka byłych krajów kolonialnych nie jest uzależniona od dyktandа władców rynku kapitalistycznego. Mogą one korzystać — i korzystają — także z możliwości uprzemysłowienia, jakie daje współpraca gospodarcza z krajami objętymi przez rynek socjalistyczny.

Rzecz jasna, taki stan rzeczy ma również określone konsekwencje polityczne. Stawiając sobie za cel likwidację zacofania gospodarczego odziedziczonego po okresie kolonialnym, rządy Indii, Indonezji czy Burmy uważają, że przygotowania do trzeciej wojny światowej zagrażają ich możliwościom rozwojowym, związanym bezpośrednio ze stabilizacją stosunków międzynarodowych i utrwaleniem pokoju na świecie w ogóle, w Azji w szczególności. Ten sam wzgląd decyduje również o tym, że rządy wspomnianych trzech państw, najaktywniej dążące do uzyskania należnego im miejsca na świecie, przeciwstawiają się zakładaniu przez mocarstwa imperialistyczne baz strategicznych w Azji. I dziś Stany Zjednoczone — nie tylko z obawy przed całkowitą utratą wpływu na życie gospodarcze i polityczne tak wszechstronnie ważnych krajów — nie mogą już skutecznie przeciwstawiać się ich polityce zagranicznej. W wielu wypadkach (tak samo zresztą jak Wielka Brytania) chcąc nie chcąc muszą ją tolerować choćby dlatego, żeby się zbytnio nie narażać rządom narodów „kolorowych" i — jak twierdzi prasa amerykańska — nie utrudniać tym rządom sytuacji wobec wewnętrznej opinii publicznej.

Siłą rzeczy wszystko to coraz bardziej odbiera imperializmowi amerykańskiemu możliwość samowolnego i apodyktycznego decydowania o biegu wypadków w całym świecie kapitalistycznym. Do rangi symbolu urasta fakt, że za rezolucją domagającą się zaprzestania doświadczeń z bombą atomową i wodorową głosowali na konferencji w Bandungu wszyscy jej uczestnicy — nie tylko przedstawiciel Chin Ludowych czy Indii, ale nawet przedstawiciel rządu należącego do bloku atlantyckiego: przedstawiciel Turcji. Nie mniej charakterystyczny jest fakt, że, zdawałoby się, całkowicie uzależniona od USA Japonia wbrew Waszyngtonowi przystępuje do normalizacji swoich stosunków ze Związkiem Radzieckim i dąży do zacieśnienia współpracy z Chinami Ludowymi.

Nic dziwnego więc, że kierownictwo obozu imperialistycznego nie może doliczyć się dokładnie, ilu ma sojuszników. Pojęcie obozu imperialistycznego przestało się w rzeczywistości pokrywać terytorialnie z pojęciem wszystkich obszarów i państw tej części kuli ziemskiej, na której panuje jeszcze system gospodarczy kapitalizmu. I to jest, moim zdaniem, jedna z głównych przyczyn niepowodzeń dyplomacji waszyngtońskiej. Jedna z przyczyn, dla których dyplomacja mocarstw imperialistycznych znajduje się w sytuacji strony słabszej wobec Związku Radzieckiego i całego zespołu państw socjalistycznych.

To co wyżej powiedziano, jest próbą rozwinięcia zwięzłej tezy o przewadze sił pokoju nad siłami wojny.

(Dokończenie na str. 7)

LUDOSŁAW

JEDEM

Miarowy stukot drewniaków odbił się głośnym echem o kamienną posadzkę.

— Los! Schneller' Eins, zwei, drei, vier...

Laseczka SS-owca trąciła Zadrożnego w ramię. Zerknął spode łba: dziś ma służbę Walter, ponury drab z workami pod oczyma. Wyszli za bramę. W powietrzu kotłowała się mgła; ziąb przenikał do skóry. Więźniarska orkiestra basowała odwiecznego marsza. Zadrożny wodził wzrokiem po wydętych policzkach muzykantów, po ich operetkowych, szamerowanych frenczach, czerwonych pantalonach. W głowie czuł zamęt, rozpamiętywał wydarzenia ostatnich dni... Więc onegdaj nocą alianci bombardowali pobliskie Eisenach; wszyscy widzieli wielobarwne kaskady świateł, wsłuchiwali się w głuche dudnienie od zachodu... Za dnia zadzierano głowy ku jakimś białym zygzakom wypisywanym na niebie przez ledwie widoczne samoloty. „Mane, Tekel, Fares — ostatnia przestroga! — mawiał Zdzisio-„powstaniec", wskazując na niebo — jeszcze tydzień, dwa i fajfant!". A tymczasem rudy Ungar już trzeci dzień szaleje z pejczem w ręku. Ten węgierski volksdeutsch ma lat 26, ale z całej duszy nienawidzi „zebr" w biało - niebieskie pasy: „Gdyby można było was wszystkich z dymem puścić, na własnych plecach nosiłbym koks z Weimaru do krematorium... Ale to was i tak nie minie!" — Rudy Ungar jest głupi. Że doigra się, o tym i SS-owcy mówią...

Dźwięki marsza cichły w oddali. Na rampie było rojno. Wśród psiego ujadania rozlegały się wrzaski SS-owców. Koło wagonów uwijali się vorarbeiterzy.

— Bahnbaukommando eintreten!.. Rodungskommando eintreten! — wrzeszczą kapowie.

— Vermessungskommando eintreten! Par ici! — krzyczy vorarbeiter Levernier. Zadrożny wyrwał się do przodu. Obok sadził wielkimi krokami Leon Gruda. Po chwili vermesserzy byli w komplecie. Dano rozkaz wsiadania.

Vermesserów wożono razem z karczownikami z Rodungskommando. Zadrożny kucnął z brzega. Przysiadł się Gruda i trącił Zadroznego łokciem — popatrz, ten nam dziś da bobu! — Do wagonu klnąc gramolił się Ungar oraz SS-owcy z psami.

Maszynista dał sygnał. Szarpnęło wagonami. Pociąg minął rampę i potoczył się w dolinę. Ponad plecami konwojentów mignęła strażnicza wieża postenketty.

Z otwartych drzwi wiało przeciągiem. W chaosie stłoczonych postaci Zadrożny rozpoznawał towarzyszy. Oto naprzeciw żywo gestykulują Francuzi. Dwudziestoletni gaskończyk Arricot, w cywilu goniec prowincjonalnego dziennika, po okupowaniu południowej Francji dostał się z całą redakcją na czarną listę i wkrótce po tym za druty. Bretończyk Rosemarie, podejrzany o zorganizowanie ucieczki na Wyspy Brytyjskie kilku pechowców kampanii 40-go roku, z rybackiej osady nad Atlantykiem, via obóz w Compiègne, przybył do Buchenwaldu w pierwszym francuskim transporcie. Po prawicy Bretończyka przykucnął Laforte, marsylski doker, niewyczerpany arsenał anegdot i rubasznych przyśpiewek. Obok z głową opartą na podkurczonych kolanach drzemie mały Martin Ross, który za druty Buchenwaldu przyjechał prosto... z Urzędu Stanu Cywilnego w Arnheimie. — Goeden dag, Martinie, czyżbyś śnił o płowowłosej Indze, której listy obnosisz w serdecznej kieszeni?

Za chłopięcym Holendrem grupka czeskich towarzyszy z Rodungskommando. Dalej bieleje w mroku ascetyczne oblicze Potapovica. Nie wiedzieć dlaczego, na swoje utrapienie, otrzymał wśród pomiarowców przezwisko „generała Michajłowicza", choć nie tai swoich koligacji z titowcami. Obok Zadrożnego Leon Gruda siłuje się na dłonie z kryminalistą Jupem. Zaraz położy Niemca. Tylko Miszka dawał radę Leonowi, ale Miszki już nie ma. Miszka wtargnął któregoś dnia przed rannym apelem do polskiego baraku i przy wszystkich pocałował Zadrożnego w usta. „Jedu na transport" — wykrztusił i tyle go widzieli.

Zadrożny poznał Grudę niedawno. Kiedyś poszedł do namiotów oglądać styczniowy transport oświęcimiaków. Skrzyknął warszawiaka; dogadali się: obaj chodzili do tej samej szkoły mierniczej. Ze Zdzisiem-powstańcem jest ich teraz w komandzie trzech Polaków. Zadrożny poszukał wzrokiem Zdzisia. Pewnie wlazł między rodungowców i spisuje piosenki... Każdy ma swojego k o t a! Kotem Zdzisia jest międzynarodowy śpiewnik. Zebrał już kilkadziesiąt pozycji w szesnastu językach. Brakuje mu jeszcze sześciu języków do śpiewnika narodów buchenwaldzkiej kaźni.

Pociąg zwolnił. Zadrożny wstał wyprostować członki, wyjrzał na świat. Od pola szły cudowne i niepokojące wonie. Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Do Zadrożnego uśmiechał się Enrico Silva, wskazując brodą widnokrąg: — Libertad, Liberté, pas loin, mi amigo — i zagwizdał bezgłośnie jakąś nieuchwytną melodię. Hiszpan osiem lat nie był w domu.

Na kilka godzin przed początkiem końca buchenwaldzkiej epopei miał miejsce ów incydent wywołany głupią sprzeczką przy wydawaniu narzędzi. Vermesserzy mieli tyczyć przecinkę. Levernier rozdał tyczki Zadrożnemu. Do odmierzania poprzecznic przydzielił Grudę, Hiszpana Nuneza i Zdzisiapowstańca; pozostali stanęli do znakowania drzew przeznaczonych do karczunku. Czterech SS-owców z wilczurami u nóg ustawiło się postenkettą wzdłuż osi przecinki. Scharführer urzędował jeszcze w baraku. I oto Enrico, nie mogąc doliczyć się dziesiątej szpilki, wszedł do środka. Wrócił zaraz z marsem na twarzy i rzekł po francusku do Zadrożnego: „Mały Polak pokazywał Ungarowi jakąś zapisaną kartkę. Świństwo!". Zadrożny spojrzał ku drzwiom, w których po chwili stanął Zdzisiek Jemioła. Poszli między drzewa. Zadrożny trąsił Jemiołę:

— Te, mikrus, dawałeś Ungarowi jakiś cetel. Co to było? Gadaj!

Zamiast odpowiedzi Zdzisio wymamrotał pod nosem nieprzyzwoitą propozycję.

— Co on mówi? — pytał natarczywie Silva.

— Mówi, żeby go pocałować gdzieś.

Enrico wcisnął Grudzie pęk szpilek i zbliżywszy się do Jemioły, obydwiema rękami pochwycił przegub jego dłoni. Z otwartych palców wypadł na trawę złożony świstek papieru: Hiszpan odczytał półgłosem: „V o r d e m K a s e r n e, v o r d e m g r o s s e n T o r, s t e h t e i n e L a t e r n e..." Dalej nie czytał, zaklął coś po swojemu i przyjrzał się uważnie twarzom towarzyszy. Kilku uśmiechnęło się kwaśno. Zdzisio wywalił język.

— Nie żałuj czerwonemu — śmiał się do rozpuku Jup, klepiąc z aprobatą chłopca.

Następna scena trwała o wiele krócej, niż potrzeba czasu na jej opisanie. Zadrozny pierwszy spostrzegł scharführera i wyrzucił półgłosem ostrzeżenie.

Wtedy Ungar zaszedł go od tyłu i grzmotnął na odlew w zęby. Zadrożny zachwiał się, beret zsunął się na tył głowy. Piekła go górna warga i policzek. Wyssał krew i splunął na bok.

— Hast du etwas noch zu sagen? — spytał scharführer pocierając o mundur grzbiet dłoni, która zadała cios. Drugą ręką przytrzymywał obrożę wilczura — Dawida, który zaglądając z zainteresowaniem w oczy więźnia zachowywał neutralność. Zadrożny zaprzeczył ruchem głowy.

— Na! Pass auf! — SS-man nasunął Zadrożnemu płaskim ruchem beret na czoło. Nagle odwrócił się na pięcie i wrzasnął:

— Alles eintreten! Aber schneller! Vite! Prędko!

Więźniowie zbliżyli się. Ungar podbiegł do Arricota i z rozmachem kopnął go w golen. Francuz stęknął, pochylił się ku zranionej nodze. Dawidowi zabulgotało w gardzieli. Skowycząc nosem, patrzył pytająco na SS-mana. Ungar powiódł zbójeckim spojrzeniem po twarzach.

— Ich habe gut gehört! Ich frage, wer ist Rot? Verstanden? Compris? — Zbliżył się do kręgu więźniów. Najbliżej stojącego Potapovica trącił w piersi trzonkiem szpicruty — Du Kommunist?

Potapovic wstrząsnął ramionami. — Ja ne, ja ne znam...

Ungar zaśmiał się krótko i przedrzeźniając Jugosłowianina, pchnął go ponownie. Nagle stanął przed Levernierem. Francuz wytrzymał spojrzenie; zdawało się nawet, że na jego twarzy osiadł ledwie uchwytny cień ironii. Scharführer machnął ręką. Dopadł małego Rossa; schwyciwszy bluzę na piersiach, skręcił ją potężnie w garści. Holender wytrzeszczył przerażone oczy, ale nie wydał głosu. Wilczur Dawid wsparł się przednimi łapami na korpusie więźnia i wywiesiwszy czerwony ozór dyszał Rossowi w twarz. Ungar potrząsał chłopakiem wrzeszcząc mu nad uchem rytmicznie:

— Ich fra-ge noch ein-mal, wer, ist bol-sche-wik. Du?! — Pchnął Holendra na ziemię. Wilczur skoczył za ciałem, ale tym razem scharführer ściągnął smycz.

Stojący opodal SS-owcy zadzierali głowy ku niebu. „Lecą nad nami..." — skonstatował Zadrożny. Jeden z postów zagadnął scharführera. Ungar popatrzał chwilę we wskazanym kierunku, ale machnął ręką i podszedł do Zdzisia. Trzonkiem szpicruty trącił go pod brodę: — Sage du. Also... — zdziełł na odlew szpicrutą i szarpnął wilkiem do przodu. Pies obnażył kły, zabulgotało w paszczy. Jemioła podniósł ręce do osłony. Pies parł do przodu. Zdzisiek cofał się, pochylając do tyłu górną połowę ciała. Ręce miał pokrwawione. Wówczas nie wiedzieć dlaczego Enrico Silva dał krok do przodu. Ungar zrobił półobrót i znalazł się przed Hiszpanem. Oburącz chwycił jego głowę i z rozmachem uderzył o wystawione kolano. Trysnęła krew na mundur. Odskoczył więc i począł zataczać kręgi szpicrutą. Spuszczony wilczur przysiadał, kręcił się, skowycząc i dysząc na przemian. Enrico zakrył twarz łokciami i osunął się na kolana. Ungar bił w milczeniu. Wtedy Levernier zawołał, żeby pan scharführer zaprzestał bicia, bo Silva nie jest czerwonym.

Scharführer nie przestając zadawać razów cedził przez zęby, że każdy Hiszpan z Buchenwaldu jest bolszewikiem. Niech „pan inżynier" idzie do stu diabłów, jeżeli nie chce zainkasować porcji Silvy. Wtedy Levernier rzekł cicho, że połowa buchenwaldczyków trzyma za komunistami, a pan scharführer nie wychłosta wszystkich. Wreszcie, jeżeli ma przyjemność, niech zbije jego, vorarbeitera, bo Silva ma już dosyć... Właśnie Enrico osunął się na ziemię. Dawid skoczył na leżącego. Ungar z zadowoleniem patrzył na widowisko.

Enrico bronił się; pochwycił tułów zwierzęcia w kleszcze kolan i gołą pięścią zadawał ciosy. Druga ręka myszkowała po trawie w poszukiwaniu czegoś twardego do obrony. Ale bestia nie dawała za wygraną i dotkliwie kalecząc swoją ofiarę parła do gardła. Wtedy Gruda rzucił Hiszpanowi pęk szpilek mierniczych. Enrico niemal w locie uchwycił kilka prętów i dał straszne pchnięcie przed siebie.

Wrzask SS-owca zmieszał się z przeraźliwym wyciem zwierzęcia. Dawid tarzał się jak oszalały na grzbiecie, okręcił się kilka razy w pogoni za własnym ogonem i skowycząc pognał w las. W brzuchu tkwiły mu ze cztery szpilki; reszta nawlęczona na drucianą obręcz trzepotała na wszystkie strony czyniąc straszliwy hałas. Ungar, patrząc lodowatym spojrzeniem na Grudę, przekładał przez głowę rzemień karabinu.

Zadrożny dał krok do tyłu. Nagle uprzytomnił sobie, że od kilku minut w powietrzu zawisło coraz głośniejsze, falujące granie motorów. Przeszło mu coś głupiego przez głowę: „Jeśli się ta cała heca dobrze skończy, napiszę odę do... „szpilek mierniczych". Widział maskę przerażenia na twarzy Jemioły, głupkowaty uśmiech Jupa i obojętne spojrzenie Enrica, który trwał w półklęczącej pozycji. Gruda stał nieporuszony, śledząc wzrokiem ruchy SS-owca.

I właśnie w tej chwili usłyszeli ów złowrogi poszum idący od koron drzew; temu i owemu na głowę i ramiona posypało się igliwie... Nie upłynęło kilka sekund, gdy powietrzem targnął przejmujący gwizd i zaraz potem ogłuszająca detonacja. Samoloty bombardowały Tor.

ZAPISKI „VERMESSERA" JANKA ZADROŻNEGO

8 kwietnia. Weimar. Niesposób zorientować się w kalejdoskopie ostatnich wydarzeń. Początek — czy koniec? Od trzech dni zamknięci w fabryce Gustloffa czekamy aż aliancka bomba rozpruje wiązania dachu naszej hali.

Będę spisywał wypadki. Od Wielkanocy przecinaliśmy duktę w lesie między Bad Berka a Weimarem. Noc z 2 na 3 kwietnia była ostatnia, jaką spędziłem w bloku... 3.IV rano, idąc do roboty napotkaliśmy, jak co dzień, transporty komenderówek. Przybyło „Rupo" i „Langesaltza". Z kilkunastu tysięcy, część zaścielała przydrożne rowy wzdłuż stukilometrowego szlaku od frontu.

3 kwietnia zginął Enrico Silva: aliancka bomba rozstrzygnęła ów obrzydliwy incydent. Enrico uszedł spod kłów Dawida, lecz padł od pocisku. Odłamek bomby otworzył mu

LEOPOLD LEWIN

WIERSZE

* * *

Z najgłębszej mnie wybawisz biedy,
W popiołach wspomnień pogrzebana —
Ty przecież jesteś dziś jak wtedy,
Kiedy mnie brałaś na kolana.

I gdy nadciąga chmura czarna,
Zjawiasz się nagle obok syna —
Twoja troskliwa i ofiarna
Służba na nowo się zaczyna

Przychodzisz cicha, dobrotliwa,
Strapiona tym, że syn nie pisze -
I znowu twoja głowa siwa
Nad moim łóżkiem się kołysze,

Patrzę oczami, mgłą zaszłemi,
Jak opromieniasz me wezgłowie,
I kiedy smutno, kiedy źle mi,
Łagodnie głaszczesz mnie po głowie.

DO JABŁONI

Widzę ciebie, kwitnąca różowo jabłoni,
Obsypująca kwieciem dziecięce wspomnienia.
Gałąź twoja do dzisiaj nade mną się kłoni,
Rzucając jasnociemne plamy światłocienia.

Od ciebie, pochylonej nad kołami studni,
Któż lepiej tajemnice podwórza pamięta?
Czy woda jeszcze w wiadrach tak radośnie dudni?
Czy przynoszą je bose, wesołe dziewczęta?

I czy dziś także w twojej soczystej zieleni
Miga twarz rozpalona i uczniowska czapka
Tego, co pod osłoną przedwieczornych cieni
W strachu przed ojcem zrywa niedojrzałe jabłka?

POPOŁUDNIE

Popołudnie spędzone na podmiejskiej darni:
Strategiczne ucieczki i śmiałe gonitwy,
Ofensywy z ukrycia i zwycięskie bitwy,
I znajomi rodziców, dzisiaj legendarni...

O zmierzchu — powrót. Miasto — wielki nieznajomy:
Szepczą coś tajemniczo znużone ogrody,
Czeluściami bram straszą dawno znane domy
I — jakby obce domu rodzinnego schody.

Długo nie mogę zasnąć w odmętach posłania,
A kiedy już zasypiam w trwożnym niepokoju,
Słyszę we śnie, jak zegar godzinę wydzwania
I matka rzewnie nuci w sąsiednim pokoju.

PRZEDSZKOLE

Dla nich — zieleń, pogoda majowa,
Gwarne poranki;
W ptasim chórze dźwięczy polska mowa —
Śpiew przedszkolanki.

Ich twarzyczki na bałtyckim piasku
Wicher osmali,
Dla nich co dzień wybucha o brzasku
Pożar na fali.

Dla nich skaczą tatrzańskie potoki
Po stopniach żlebu,
Rzędy świerków, spowitych w obłoki,
Idą ku niebu.

Ich radością — pociąg elektryczny,
Deszczu kałuże,
Dla nich wyrósł pałac niebotyczny
Z rubinem w chmurze.

Dla nich — węgiel gromadzą podziemia,
Uczony ślęczy
I najpiękniej rodzi polska ziemia
Pod łukiem tęczy.

DO ŻONY

Niechaj najlżejszym tchnieniem dobry sen cię muśnie,
Gdy po dziennych kłopotach utrudzona uśniesz.

Znam troskę, co trzepoce się w sercu matczynym,
Gdy wieczorem nad śpiącym pochylasz się synem —

I pieścisz drogie rysy niespokojną myślą,
I z uśpionej twarzyczki chcesz wyczytać przyszłość.

Ile kobiet ma taki jak ty wyraz oczu —
W nich niepokój z nadzieją bój gwałtowny toczą.

Ile matek, schylonych jak ty nad łóżeczkiem,
Bierze do ręki skrzypki, szmacianą laleczkę

I głaszcząc je lub lekko potrącając strunę,
Myśli, jakby odwrócić dłoń zbrojną piorunem,

Aby grom nie uderzył w bezbronne łóżeczko,
W którym śpi uśmiechnięte ukochane dziecko.

Widokiem jasnych główek wszelki smutek uśmierz!
Niechaj nigdy nie znika z twojej twarzy uśmiech!

Niech dzieci nam pięknieją razem z miastem naszym —
W śpiewnym szumie ogrodów, szumnym śpiewie maszyn.

Niechaj pieśń je porywa, uszlachetnia słowo,
A gdy jabłoń zasadzą, niech spożyją owoc;

Byśmy się mogli cieszyć już starzy oboje:
Ja — ze szczęścia twojego, ty — z radości mojej.

CICHOWICZ

DAS SEINE!

jamę brzuszną. Po dwugodzinnej męczarni zmarł, prosząc swego rodaka Nuneza o przekazanie matce pozdrowień. Ungara po nalocie odeszła furia. Dotąd nie pojmuję dlaczego Leonowi i nam wszystkim uszła na sucho heca ze szpilkami. W południe nadjechał SS-man na motorze z rozkazem powrotu do lagru. Ba! Ale jak? Tor zbombardowany! Nocowaliśmy więc z konwojentami w baraku. Zdzisio całą noc beczał, aż jeden SS-man dał mu w gębę. Na oczach wszystkich wrzucił do piecyka nieszczęsny zbiór pieśni. Nad ranem nowy rozkaz: „Leśne komanda wyruszą pieszo do Weimaru". Koniec z pracą. Nieprzyjaciel zajął Eisenach. Szliśmy więc owe piętnaście kilometrów, nie wiedząc, czy smucić się, czy radować. Gdy przybyliśmy na teren fabryki, z różnych zakamarków wyzierały ku nam spojrzenia jakichś istot nie z tego świata. W kilku językach padały błagania o okruszynę chleba. To więźniowie ewakuowani spod frontu, zamknięci bez pożywienia od kilku dni. Czy i nas czeka podobny los?

11 kwietnia. Brzask. W mrocznej głębi wagonu widzę dziwaczne kontury zastygłych w spoczynku postaci. Sto par rąk i nóg, sto pasiastych tułowi, sto ogolonych czaszek tworzy na dnie tego drewnianego pudła koszmarne kłębowisko ludzkie.

Nagle słyszę przerywany jęk syreny. Zdzisiek dostrzega przez zadrutowany otwór zbliżające się myśliwce. Symetryczne pasemka skrzydeł rosną w oczach. Warkot nad dachami wybucha przeraźliwą wrzawą... Pikuje! Płaszczę się na podłodze, zaciskam oczy, uszy. Pada seria z broni pokładowej. Po kilku sekundach pikuje następny. Nowa seria.

Godzina 16. Okazało się, że lokomotywa strzaskana, w pierwszym wagonie kilku rannych. Po czterogodzinnym postoju pada komenda opuszczenia pociągu.

Przechodzimy przez Grosschwabhausen. Po drodze pozdrawiają nas z płaczem ukraińskie dziewczęta. Jedna towarzyszy naszemu pochodowi przez całe miasto. „Jeszcze niemnożko, chłopci... wydierżytie".

W środku nocy kilkutysięczny tłum zganiają na łąkę. Jest zimno i mokro. Układamy się na ziemi i przytulamy do siebie.

12 kwietnia. Przed świtem zrywają nas w dalszą drogę. O 13-tej popas w Eisenbergu. Mamy otrzymać zupę. Od 48 godzin nie jedliśmy absolutnie nic. Jeden SS-man oświadcza poufnie, że pewnie nas tu zostawią. Mży deszcz. Kładziemy się na trawie i przykrywamy jakąś płachtą. O 14-tej diabli biorą zupę i wolnościowe sny. Rozkaz wymarszu. Po kilku minutach kolumna stoi gotowa. Na łące tam i sam walają się nieruchome sylwetki. Jakiś oficer wrzeszczy rozkazy. Grupa więźniów rozbiega się po łące i przywleka owe pozostałości na jeden stos. Ale w owym stosie jakieś poruszenie. Ktoś siada, wstaje i stawia kilka chwiejnych kroków... Siada z powrotem, zakrywa twarz dłońmi: oto zbliża się młody SS-owiec w czapce lotnika. Strzał z bliska. Sprawa załatwiona. Ale w stosie znowu coś się rusza. „Lotnik" przykłada automat do biodra...

Przemarznięci, głodni, przerażeni ruszamy w drogę. Dokąd nas te diabły prowadzą?

Godzina 20. Wchodzimy do Bad Köstritz. Nocleg w miejskim parku. Kilka tysięcy, jeden na drugim. Nie mrużymy oka. Alianci depczą po piętach. Bliska kanonada od północo - wschodu! Czyżby okrążenie? Przed świtem komenda: aufstehen! Gnają nas dalej po ciemku. SS-owcy wrzeszczą i strzelają do ociągających się. Środkiem drogi walą jakieś auta, furmanki, wózki, rowery.

13 kwietnia. Przemarsz przez piekło trwa. Kanonada nie cichnie, nadto słychać coraz częściej wybuchy wysadzanych za nami mostów. Nad ranem spostrzegamy brak czeskich kolegów oraz Leona Grudy. Jeśli uciekli, to „połamcie ręce i nogi", bo dziś 13 i piątek. Przy próbie ucieczki z parku w Bad Köstritz zabili kapo karczowników. SS-mani mordują ludzi z obojętnym wyrazem twarzy.

Od trzech dni bez kawałka chleba. Siły na wyczerpaniu. Niektórzy żują trawę.

Słońce coraz wyżej. Upał się wzmaga. Zbliżamy się do Gery. Zatraciliśmy szyk piątkowy. Ludzie słaniają się na nogach, padają. Ze wszystkich stron strzały karabinowe. Nasi siepacze mają skórzane pasy na brzuchach, a każdy spięty żelazną klamrą z wytłoczonym napisem „Gott mit uns".

Wchodzimy do Gery. Przedmieścia leżą w gruzach. Popłoch. W poprzek ulicy barykady i bunkry. Wojsko, cywile, samochody, wozy, piesi. Wydaje mi się, że widziałem Ungara na rowerze. Spotkaliśmy rodaka z bloku. Opowiada, że Grudę ranili w Bad Köstritz i co za paradoks — po otrzymaniu opatrunku od przygodnego SS-mana, powlókł się dalej. Tymczasem SS-mani mordują każdego, kto nie ma siły wlec się. Naliczyliśmy, że bestia w czapce lotnika na przedmieściach Gery zastrzelił blisko trzydziestu. Więzień pozostawiony na drodze jest niebezpieczny... nawet, jeżeli nie może ręki podnieść. Trzeba go unieszkodliwić. Ale skazańców wywleka się za miasto. Nie można gorszyć ludzi widokiem krwi, w mieście morduje się tylko w „nagłych" wypadkach. Ci, których da się wywlec za rogatki, dopiero tam, w rowie, znaczą ślad naszego pochodu. Gdy pewien starowina Włoch spoczął na chwilę w przydrożnym rowie, sam nie wiedział, kiedy ss-mańska kula przedłużyła jego wypoczynek w nieskończoność. Inny nie ma siły pójść dalej. Bratnie ramiona unoszą zwisający korpus, ale konwojent zatacza lufą wachlarz w poprzek piersi całej trójki. Padli tak, trzymając się w objęcjach. Jeszcze inny zakrywa głowę połą häftlingowskiej bluzy i czeka... Wychodzimy za miasto. Po chwili potężne wybuchy roznoszą się po okolicy. Jeden, drugi, trzeci. Mosty na Elsterze wysadzone. Idziemy w niesamowitym upale bez kropli wody, kawałka chleba. Ludzie padają coraz częściej. Niekiedy z własnej winy. Idzie kryminalista Jup, nogami wlecze, dźwiga kilka tobołków... dorobek kilkuletniej kolekcji przedmiotów potrzebnych mu w życiu obozowym. Słania się, ale tobołów nie rzuci. Wreszcie siada w rowie i więcej nie wstaje, kurczowo ściskając swój dobytek.

Godzina 17. Mijamy jakieś miasteczko. Z niektórych domów kobiety wynoszą kubły z wodą, ale SS-mani odpędzają nas kolbami. Jakiś gruby, cywilny Niemiec wróży głośno konwojentom, że wkrótce pójdą naszym śladem. Młody SS-man grozi śmiałkowi karabinem. Droga robi się koszmarna. Popuchły mi nogi, stąpając sprawiam sobie okropny ból. Za wszelką cenę chcę odpocząć.

Poprzedzająca nas kolumna siada w rowie. Siadamy i my.

Spisuję notatki pod datą 13.IV. Czy starczy sił sięgnąć jutro po ołówek? Nie ma między nami Jugosłowianina. Ostatni widział go Zdzisiek przy piciu wody. Po kilku minutach postoju nieopisana radość. Na skraju drogi ukazuje się długonogi Potapovic pod rękę z Leonem Grudą. Więc żyje Gruda — i co więcej, opowiada sensację. SS-manem, który opatrzył mu ranę był... „ponury" Walter, ten, który przez dwa lata obsługiwał szubienicę buchenwaldzkiej filii, ten, którego widoku wszyscy unikali jak złego miejsca... Poza tym Gruda widział w Gerze kanalię Ungara, gdy kolbą karabinu maltretował staruszka, Belga, każąc mu przez kilka kilometrów dźwigać ciężki ss-mański tornister.

Leoś jest powierzchownie ranny w ramię, ale czuje się dobrze. Jadł chleb. Ma parę okruchów do poczęstowania.

Zaczyna mżyć deszcz. Jednemu Rosjaninowi udało się skryć w rurze ściekowej pod jezdnią i może doczekałby lepszych czasów, ale jakiś wyrostek zaalarmował SS-owców. Rura ściekowa stała się grobem dla uciekiniera.

Po półgodzinnym postoju rzecz niebywała. Ni stąd ni zowąd na szosie pojawiają się dziesiątki różnorodnych pojazdów. W tejże chwili rozlega się przejmujący dźwięk syreny, długi, nieprzerwany. SS-mani niespokojnie wyciągają szyje w kierunku miasta. Feindalarm! Szpice nieprzyjaciela w mieście! SS-mani zrywają nas w pośpiechu i poganiają przed sobą. Kilometr drogi, dalej zakręt i stacja. Pierwsze kolumny ładują do wagonów. SS-mani strzelają do ociągających się. Ja kuleję, ale z obu stron pomagają mi Levernier i Laforte. Samoloty krążą nad dachami wagonów. Więźniowie machają pasiakami. Nie strzelajcie! To my, Häftlingowie!

Godzina 20. Stoimy w szczerym polu. Przed nami rozwalony most. W oddali sylwetka miasta Unterkotzau. Pootwierano wagony. Wychodzimy na łąkę. SS-mani dziwnie sielankowi. Rozdają chleb i papierosy. W oddali, na szosie korowody pojazdów, rowerów i pieszych. Ha, i tu wieją! Łazimy między wagonami przepytywać o znajomych. Podobno kolumna nasza liczy dwa i pół tysiąca. Część została odbita w Gerze po wysadzeniu mostu, a pozostali zaścielili trupem szlak naszej ewakuacji. Ktoś puścił pogłoskę, że mają zostawić nas swemu losowi. Ktoś proponuje na głos, żeby załatwić się z aniołami stróżami. Jeden z SS-manów wskazuje po cichu kamratów, od których należałoby zacząć... Gotów nam pomóc. Cóż, kiedy nasz transport wart jest akurat tyle, ile może stanowić gromada ludzi, którzy od kilku dni nie jedli, a za sobą mają sto kilometrów forsownego marszu. Na razie zarządzono nocleg w wagonach.

14 kwietnia. Godzina 11. Wyruszamy na piechotę. Po drugiej stronie mostu czekają wagony. Godzina 16 — w pociągu. Na stacjach ruch duży. Wszystko gna na południe. Mijamy doszczętnie zniszczony Hof. To Bawaria!

15 kwietnia. Godzina 9 rano. Jesteśmy w obozie koncentracyjnym Flossenburg. Przybyliśmy nocą. Pamiętam jak w świetle księżyca bieliły się regularnie obciosane głazy. To kamieniołomy! Grozy widoku dopełniała niesamowita pustka i cisza nocy. W oddali rzędy świetlnych punktów. Obóz! Tu był mój ojciec.

16 kwietnia. Dzień względnego wypoczynku. Miska zupy. Przemówienie komendanta, że ewakuacji nie będzie, że obóz oddadzą w ręce nieprzyjaciela. Nalot samolotów. Ulotki: „Schluss mit dem Kriege", podpisane przez marszałka Paulusa. Wywieszenie białych flag na dachach. Grupa SS-manów w pełnym rynsztunku schodzi w dolinę. U komendanta obozu komisja Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża.

Godzina 19. Zdjęto białe flagi. SS-mani wrócili na wieżyczki, a szwajcarska komisja okazała się niemiecką. Zarządzono ewakuację na jutro. Manewr z białymi flagami miał zmylić zwiadowcze samoloty.

20 kwietnia. Godzina 17. Od dwóch dni maszerujemy zachodnimi stokami Sudetów na południe. Tuż przed ewakuacją rozstrzelali Laforte'a. W czasie rozgardiaszu z wywieszaniem białych flag nawoływał, żeby uderzyć na SS-owców i skryć się w górach. Zginął, a jego zaciśnięta pięść jeszcze po śmierci groziła oprawcom. Rano zaprzęgli mnie do wozu ze zwłokami. Na zapleczu każdej kolumny jedzie kilka takich wozów zbierających szczątki pomordowanych. Potem gromadzi się je na jeden duży stos. Inna grupa więźniów grzebie zwłoki i zaciera ślady. Co kilka kilometrów naszej trasy zostawiamy za sobą bezimienne grobowce. Uciekłem podczas postoju i dobrze zrobiłem, bo grabarzy wyprowadzono do lasu, skąd już nie wrócili.

Post twierdzi, że od wczoraj padło więcej niż tysiąc... że to rozkaz Himmlera... A do Dachau jeszcze tydzień marszu.

21 kwietnia. Rötz. Urodziny Adolfa. Wstaliśmy z mokrej łąki przed świtem, idziemy nieświadomi losu, obojętni na głód i zmęczenie. Idziemy jak roboty wciąż lasem i wciąż pod górę... Pokazuję Levernierowi figurę przydrożną. Pada strzał. Mózg z krwią pryska na nasze pasiaki i twarze. Pada Häftling z rozbitą czaszką u stóp krzyża. „Gott mit euch, Übermenschen!"

Godzina 13. Znów postój na mokrej łące i znów deszcz. Kiedyż się ta heca skończy? Zdziś, który podczas marszu gdzieś się zawieruszył, wraca z kilkoma kromkami chleba z marmoladą i niezwykłą wiadomością. Spotkał scharführera Ungara. Ungar wdał się w rozmowę, proponuje wyprowadzić w las grupkę vermesserów, w zamian za późniejsze wstawienie się za nim. Ma informacje, że wszystkich niedobitków nazajutrz wystrzelają, bo znajdują się w okrążeniu. Ungar na poparcie swych dobrych zamiarów wspiera chlebem i zaprasza na poufną rozmowę Leverniera.

Levernier wraca po kwadransie: nie mamy nic do stracenia; oto z chwilą dania rozkazu do wymarszu, Ungar obejmie konwój kolumny, w której znajdują się vermesserzy, będzie opóźniał marsz; przy pierwszej okazji umkną w bok i zaszyją się w lesie.

Po godzinie postoju nowa sensacja. Spędzili nas na zbocze góry. Mamy nocować w lesie. Zbieramy gałęzie i układamy barłogi.

22 kwietnia. To chyba koniec! Tkwimy w gąszczu, po kostki w wodzie. Deszcz pada 12 godzin bez przerwy...

*

Tej nocy chłodnej i dżdżystej nie zmrużyli oka. Trawieni głodem i gorączką zbili się w gromadki. Od reszty świata odgradzała ich z obu stron ściana lasu. SS-owcy nie zwracali na nich uwagi; wystawali kolejno na skraju drogi i uważnie obserwowali horyzont. Nagle od północy dała się słyszeć głucha kanonada dział i karabinów maszynowych... Szedł pomruk zbliżającej się burzy, wzbierał na sile, aż wybuchł nieopętaną wrzawą. Nad drogą krąży aparat i sieje kulami w ss-owskie namioty. SS-owcy wrzeszczą, podrywają więźniów do wymarszu i strzelają do ociężałych i takich, którzy próbują umknąć w głąb lasu. Tak pada na oczach towarzyszy „vermesser" Leon Gruda. Ginie bez wieści 17-letni Zdzisio Jemioła. Wali się do rowu śmiertelnie raniony Jose Nunez, mierniczy z Estramadury.

Konwój biegnie leśnymi ścieżynami ku wschodowi. Oto zabudowania wioski Untertraubenbach. Mijają most na rzece Regen. Ale kto zbacza z drogi, kto upada, komu potyka się noga — przypłaca życiem.

SS-owcy oszaleli ze strachu strzelają w powietrze, inni wprost do kolumny, są i tacy, którzy umykają do lasu.

Wrzawa coraz głośniejsza. Na horyzoncie pojawiają się czołgi, rosną w oczach! Dygoczą nogi Häftlingów, drżą serca, oczom brak łez. Wpadają w pierwsze zabudowania wsi; rozbiegają się po okolicznych opłotkach. Jakiś SS-man-szaleniec wpada z dymiącym karabinem na podwórze, gdzie dojrzał kilku uciekinierów...

— Hau ab! Verfluchte Schweine! Marschiren weiter! — Kłoda drzewa spada na głowę SS-mana. Ginie stratowany dziesiątkiem drewniaków. Zadrożny podchodzi do leżącej kukły i zrywa z kołnierza tłupią czaszkę, chowa dla pamięci... W zabudowania wsi wtargnął warkot czołgów. Jadą skąpane w deszczu, unurzane w błocie i patrzą lufami dział i karabinów maszynowych.

Z chlewków, psich bud, ze stodół wyzierają ku przybyszom pół-ludzie, pół-szkielety i wyciągają ku maszynom ręce... Jakieś słowa wielojęzyczne, jakieś okrzyki chrapliwe wyrywają się z zeschniętych gardeł. Wolność do nas przyszła!.. Przyjechała w czołgach z daleka, przyjechała na złość Himmlerowi, na przekór gorączce i tyfusowi.

*

Szli gromadnie i rozprawiali głośno, ale przecież żaden nie umiał wyrazić tego, co nieuchwytnie rozsadzało piersi. Omijali w skupieniu zwłoki poległych towarzyszy, nie przejął ich widok rozpostartego w poprzek drogi trupa Obersturmführera. Warkot czołgów cichł, tylko od lasu echa przynosiły jakieś pojedyncze strzały. Byli więźniowie przyglądali się żołnierzom zwycięskiej szpicy. Właśnie jeden z wyciągniętym pistoletem idzie na spotkanie oddziałku SS-owców oddających się do niewoli. Podoficer kroczący na przedzie trzyma w górze białą chustę. Gdzieś od łąki gromada więźniów wlecze za nogi ryczącego w niebogłosy SS-owca. Opodal inny bez czapki i pasa umyka, nie oglądając się za siebie...

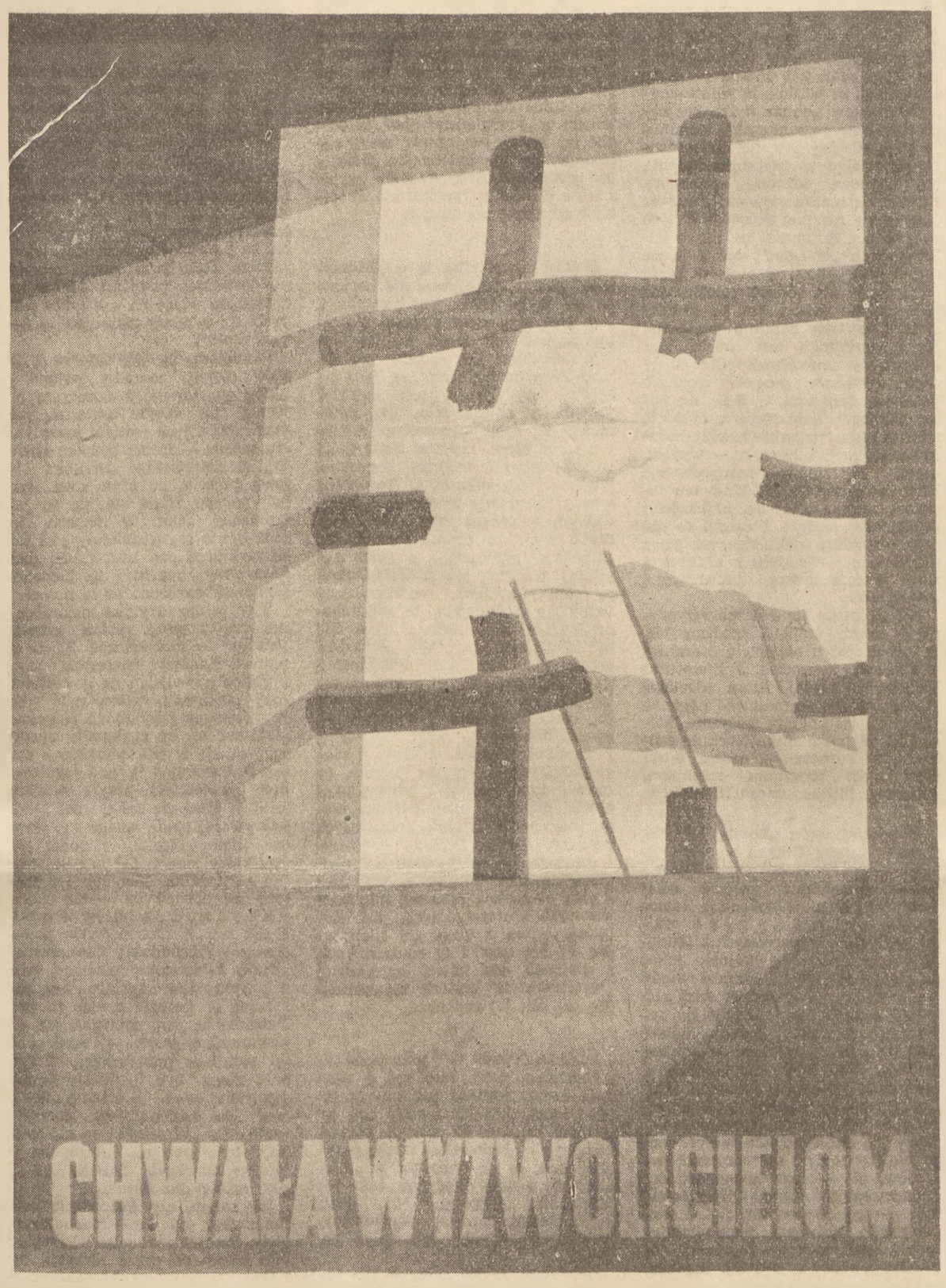

Z plakatów Tadeusza Trepkowskiego

Jest na co patrzeć. Żołnierze pokazują zęby w uśmiechu; nawet słońce wyjrzało zza mgły i spogląda na to, co się dzieje na drodze z Untertraubenbach do Phösing.

*

Właśnie rozprawiali na temat zdobycznego kubła ze smalcem, którego Arricot ani rusz nie chciał porzucić, kiedy doszedł ich jakiś samotny więzień w pasiaku.

— Guten Tag, Kameraden! — Ten ów mimochodem spojrzał na przybysza i wzruszył ramionami. Ale okrzyk Rossa zelektryzował wszystkich.

— Towarzysze, to SS-owiec Ungar przebrany za Häftlinga! — Oglądali SS-owca ni to z przestrachu, ni to z ciekawością. Scharführer w pasiaku, co za farsa! Uśmiechali się niewyraźnie. Ktoś ciekawie przepytywał, ktoś inny poklepywał po ramieniu. Zadrożny przełknął ślinę i zagadnął Leverniera: — Czego ten drań chce od nas? Co nam po nim?

— Teraz nie on nam, ale my jemu potrzebni... Oddamy władzom, ale po sprawiedliwości powiemy o umowie.

— Według mnie, niech sobie idzie won! Tak, czy owak, brudzimy ręce.

Po chwili przestano zajmować się SS-owcem. Był wśród nich, jak brud za paznokciem — nie wart w owej chwili zachodu.

Nagle straszna myśl przeszyła Zadrożnego. Potrząsnął gwałtownie ramieniem SS-mana.

— Skąd wziąłeś? To...? — spytał groźnie szarpiąc palcami häftlingowską bluzę na piersiach Ungara. Cała gromada przystanęła. Spojrzeli po sobie. Levernier nie czekając na odpowiedź ostrym ruchem pchnął Ungara w drogę powrotną.

— No! Jazda! Prowadź, gdzie się przebrałeś.

— Nie gadać z nim. W łeb go... Pokaż, gdzieś go zostawił — rozlegały się wielojęzyczne głosy i parę dłoni naraz pochwyciło SS-owca.

— Pokaż tego, któremu zabrałeś pasiak! Gdzieś go zabił?

— Herr Gott! Nikogo nie zabiłem... Ja... — stękał w rozpaczy. Jeden z więźniów zdzielił SS-owca w gębę. Ungar próbował jeszcze coś tłumaczyć, ale kazali mu „trzymać pysk" i powlekli ku pobliskim zabudowaniom. Więcej się nie opierał.

Zazdrożnego coś dławiło w gardle. Mówił do Leverniera: — On sam nie wie, ilu na tamten świat wyprawił... Niech go diabli wezmą; trybunał go osądzi, ale... jeżeli zabił tego biedaka teraz, w godzinę wyzwolenia, to... — Francuz wzruszał ramionami. — Zobaczy się...

— Sami go wykończymy — pokrzykiwała gromada.

Mieszkańcy wsi umknęli w las. Tu i ówdzie snuły się grupy więźniów w poszukiwaniu żywności. Ungar prowadził w opustoszały dziedziniec. Obeszli domostwo. Dalej stał sad. Był długi, rósł gęsto, wspinając się ku wzgórzom. Arricot trącił łokciem Zadrożnego:

— Czy on nas w jaką zasadzkę nie prowadzi?

— Du, pass auf...! — jakby w odpowiedzi zasyczał Potapovic, wzniósłszy nad głową SS-owca potężny oskard.

Dwieście metrów wyżej natknęli się na drewnianą altanę, za nią druciane ogrodzenie i jeszcze wyżej las. W altanie sprzęt ogrodniczy. Na taborecie przy drzwiach tornister, parę rozrzuconych szmat, rozbite lusterko. Na podłodze kosmyki rudego włosia. Ross zerwał Ungarowi więźniarski beret. Głowa była ostrzyżona do skóry. — Świeża robota — zaśmiał się kwaśno Holender. Obszukiwali kąty i pobliskie zarośla. Jugosłowianin trącił oskardem więźnia.

— Gdzieś go schował, gadzie? Gadaj, bo ci łeb rozwalę!

Ungar wzruszył ramionami.

— Nikogo nie zabiłem, ubranie zamieniłem z jakimś więźniem.

— Ty! Häftlinga ubrałeś w swój szubrawy mundur, a sam wlazłeś w jego pasiak? Gadaj zaraz... zakopałeś go?

Ungar potrząsnął z uporem głową i prosił, żeby mu dali opowiedzieć jak i co...

— Mów. I tak cię powieszą.

Opowiedział, że już dawno zaopatrzył się w cywilne ubranie, maszynkę do strzyżenia, a nawet czerwony trójkąt z literą „U". Gdy zobaczył, że już koniec, nie chciał uciekać do lasu jak inni, dosyć ma wszystkiego, tamtych i tak wyłapią... on już dawno.

— Znamy cię, ścierwo; gadaj do rzeczy, coś z nim zrobił?

Więc przebrał się, ostrzygł głowę, ale zaraz zobaczył, że nie podobny do Häftlinga. Już chciał postrzępić ubranie, ale ujrzał w krzakach więźnia za potrzebą i zaproponował mu porządne ubranie za pasiak.

Więźniowie spojrzeli cierpko po sobie.

— Łże! Skończyć z nim — zawyrokował Arricot.

— Gdzie mundur? — Zapytał Levernier.

Mundur i karabin rzucił na daszek altanki; pewnie jeszcze leżą, mogą zobaczyć..

Zadrożny wdrapał się po ścianie, ściągnął na ziemię mundur i sięgnął po karabinek, który w istocie leżał z brzegu. Zeskoczył i zbliżył się do Ungara. Ten zadrżał, zająknął się.

— Stul pysk — zasyczał Zadrożny. — Jeżeli w magazynku braknie choć jednego pocisku, resztę wpakuję ci w łeb. — Ale magazynek był pełny, nawet w lufie siedziała kula. Tymczasem Arricot, myszkujący po kieszeniach munduru, odkrył za podszewką prostokątny przedmiot. Była to ss-owska książeczka. Czytali głośno: „Kurt Järmäs, w stopniu Unterscharführera, narodowości niemieckiej, urodzony w roku 1919 w mieście Raab na Węgrzech... Beruf... Vermessungstechniker".

Levernier i Zadrożny spojrzeli sobie w oczy. **„Vermessungstechniker"** — wyszeptali, jakby do siebie. Więźniowie skupieni wokół czytających spoglądali na oblicze młodzieńca uśmiechającego się z fotografii.

Wtedy Ungar, jak zraniony ryś rzucił się w sad do ucieczki. Nim spostrzegli manewr, odsadził się o kilkanaście kroków.

Potapovic rzucił oskardem, ale nie trafił; więc sam pobiegł w pogoń. Za nim Ross i Rosemarie. Ktoś wyrywał Zadrożnemu karabin:

— Strzelaj za nim!

— Czekaj, sam potrafię. — Oparł lufę na gałęzi. Między drzewami mignęła sylwetka zbiega w pasiaku. Wycelował w plecy... Zadrżała ręka. Zagryzł do bólu wargi i znowu wycelował... Przed oczyma stanęły mu owe trzy słowa wykute na sztachecie bramy buchenwaldzkiej: JEDEM DAS SEINE!

Na linii celu ukazał się długonogi Potapovic. Zadrożny opuścił broń.

— Nie mogę — wyszeptał — przeszkadzają. — Gdy odwrócił głowę, napotkał ironiczne wejrzenie Leverniera.

Po niedługiej chwili wrócił zdyszany Jugosłowianin; zawstydzony mamrotał:

— Świnia, przeskoczył ogrodzenie i do lasu... Nie mogłem przeleźć, zawadziłem o druty...

Od lasu zagrzmiało kilka pojedynczych wystrzałów. W tej samej chwili nadbiegli Ross i Rosemarie.

— SS-mani upolowali Ungara. Zmylił ich pasiak...

Ludosław Cichowicz

BOGUSŁAW KOGUT

O „Rozstajach" — uwag kilka

1.

Skoro pisarz wybitny, laureat, autor głośnych książek będących „w obiegu" wydaje następną pozycję, normalnym zjawiskiem bywa natychmiastowa reakcja kół literackich, recenzje, dyskusje — słowem to, co się składa na tzw. literackie wydarzenie. W chwili, gdy przystępuję do pisania niniejszych uwag, wydana przed blisko 5 miesiącami powieść Putramenta „Rozstaje"*) pozostaje jeszcze w antyszambrach literackiej opinii pisanej i tylko jeden „Przegląd Kulturalny" zdążył się do niej ustosunkować. (Pomijam tu głos „resortowo" niejako zobowiązanego „Żołnierza Wolności" oraz dość liczne głosy prasy codziennej). Co jest powodem tej małomówności prasy literackiej w odniesieniu do „Rozstajów"? Czy tylko klimatyczne przypadłości tak prasę absorbujące, owe nie bardzo sensowne odwilże i przymrozki, owe „strachy na Machy"? Nie tylko. Rzecz chyba w tym, że nowa powieść Putramenta jest trudna do oceny, nie nadaje się ani do koronacji uchwalonej przez aklamację, ani też do „schlastania" przez pojedyncze liberum-veto. Że budzi ona bardzo różnorodne refleksje i wymaga s a m o d z i e l n e g o wartościowania. Wyuczone schemaciki recenzenckie, skonstruowane na kształt suwaka logarytmicznego nie na wiele się tu zdadzą. Przykład — recenzja w „Przeglądzie Kulturalnym", gdzie recenzent na trzech szpaltach streszcza i o p i s u j e książkę, a na czwartej kwestionuje... tytuł.

2.

„I jeśli w mieście wdzierała się do urzędów i docierała do partii fala niewybrednych, bezwzględnych w swej łapczywości karierowiczów — to na wsi ten, co szedł do partii, nie szedł ani dla korzyści, ani z chytrego obrachunku, ani z żądzy przechwalania się władzą. Szedł przekonany, że tędy droga dla chłopa, dla chłopa polskiego, dla Polski". Ten cytat (str. 151) jest oczywiście wyrwany z kontekstu, a zatem pozbawiony tego, co go jakoś usprawiedliwia. Nie mniej łatwo stwierdzić, że jest to tzw. publicystyka, referat, czy jak tam. I w tym miejscu można by snuć rozważania na temat Putramentowej stylistyki, tej osobliwej tkaniny, w której jakże trudno oddzielić ową publicystykę od wszystkiego co nią nie jest. Ale wniosek ostateczny będzie jeden. Nie w stylistyce — nie w tym, że w „Rozstajach" materiał publicystyczny jest mniej udatnie wtopiony w narrację niż np. we „Wrześniu" — tkwi trudność. Znamy tę stylistykę nie od dziś, czujemy — mimo zgrubienia i pęknięcia liczniejsze w „Rozstajach" niż gdzie indziej — jej integralność, nierozdzielność od całej materii powieściowej, żywiołowej — ale zarazem klarownej i prostej.

Konstrukcja? Prawda, pęknięta wpół, a raczej związana wpół z dwóch odrębnych kondygnacji. Zamiast prowadzić równolegle wiele wątków, pisarz wolał podzielić przez dwa. Te dwie oddzielne powieści czyta się tak, jak np. powieści Balzaka z „Komedii Ludzkiej", mające swoje styki gdzieś na krańcach fabuły. To łapanie styków sprzyja nawet zaciekawieniu czytelnika, rozbudza uwagę, wzmaga napięcie. A tego napięcia nie brak. Nie brak także i intelektualnej satysfakcji przy śledzeniu poszczególnych zawęźleń intrygi, klęsk jednych i sukcesów drugich, przy precyzyjnym negliżowaniu charakterów pięknych i nędznych, wielkich i karzełkowatych. A jeszcze dowcip, nie ten świecący, perełkowaty, ale ten cięty, zjadliwy. A jeszcze to i owo można wyliczyć in plus. Ale...

Ale zgódźmy się, że mówimy serio, mówimy o literaturze pięknej, a nie jej e t a p o w y c h namiastkach, że wreszcie mamy do czynienia z prozą wybitnego pisarza współczesnego, a więc prozą, od której oczekiwać trzeba jak najwięcej. A wówczas owo wyjście obronną ręką z publicystyki i ułatwień konstrukcyjnych, usatysfakcjonowanie czytelnika dobrą intrygą, wnikliwą psychologią i ciętym dowcipem — będzie, że się tak wyrażę, spełnieniem programu minimum. Minimum artystycznego. Nie więcej.

*) Jerzy Putrament: R o z s t a j e. 1954, wyd. MON, str. 352,

3.

W pisarstwie Putramenta, w jego publicystyce imponowała mi zawsze przejrzysta i mobilizująca jednoznaczność postawy i środków wyrazu. Nauka w las nie chodzi, toteż i w mojej prozie recenzentka „Życia Literackiego" wykryła dążność do tej jednoznaczności, nazywając ją przy tym symplicystyczną. Przy pomocy słownika wyrazów obcych udało mi się dociec, że chodzi tu o prostactwo. Więc gdybym był z tych, co to skoczywszy z okna obwiniają tego, kto im kazał (biedne niemowlęta biorące się do inżynierii dusz ludzkich), lub z tych, co za własne nieumiejętne obchodzenie się z bronią chcieliby postawić pod sąd kaprala — miałbym już sprawcę mojego prostactwa. Ja jednak od każdej odwilży i od każdej huziamody wolę ów wynaleziony przez któregoś z krakowskich Zoilów własny porządek, choćby symplicystyczny. Więc skąd ten wywód — spyta ktoś. Stąd, że właśnie ta jednoznaczność środków wyrazu (tylko bez obcojęzycznego przymiotnika) dominuje i w ostatniej powieści Putramenta, określając w znacznym stopniu jej wymowę ideową, agitacyjną. Streścić ją można słowami Fuczika: „...w życiu nie ma widzów". Z tym oczywiście, że mowa tu nie o jakimś życiu „w ogóle", ale o walce z tym wszystkim co przeciw życiu staje. A że dla widzów miejsca nie było ani po jednej, ani po drugiej stronie, o tym dobitnie przekonał się (i czytelnika też) choćby taki nieszczęsny „subtelniak" Ostoja. W ogóle ukazanie procesu rozkładu polskiego faszyzmu, z Boże się pożal ideologią Kamala-Kurchańskich, konfrontacja pułkownikowsko-hitlerowskich racji z historią — wypada ostro. Putrament kompromituje ostatecznie, dobija moralnie ten faszyzm, w jego ostatniej, najbardziej odrażającej postaci. I osiąga to nie poprzez uczone spekulacje, ale przez ukazanie go w starciu z konkretną siłą przeciwstawną, uformowaną historycznie.

Ale zgódźmy się i tu na rezygnację z taryfy etapów, zgódźmy się, że nie chodzi o niemowlę literatury politycznej, że mowa o literaturze głęboko partyjnej, która ideologię winna wzbogacać, posuwać naprzód. Wówczas ów pogrom faszyzmu, który rósł od pułkownika Koca do pułkownika Turonia — będzie także spełnieniem programu minimum, minimum ideologicznego. Nie więcej.

4.

W drugiej części „Rozstajów" Putrament ustami Urbana wyraża (namiętnie jak zawsze), pogląd, iż nie można w czamburi potępić całej AK., jak to niejednokrotnie robiono. Ale sam, u k a z u j ą c walkę polityczną w pierwszych kilkunastu miesiącach po wojnie, jakoś problem AK wymija. Czyżby wtedy ten problem już „wygasł"? Ależ nie, wtedy właśnie nabrzmiewał on tysiącami tragedii. Śmiem nawet twierdzić, że to problem AK, a nie problem NSZ-u był politycznie i taktycznie (zresztą i moralnie) najtrudniejszy. Putrament dając wyraz temu, iż ten problem przecież widzi, chcąc nie chcąc popada w coś, czego nie nazwałbym sprzecznością poglądów, ale — powiedzmy — niekonsekwencją, dającą się streścić tak: Głoszę, że problem AK trzeba „ustawić", ale sam wolę dobijać tych z NSZ, jawnych faszystów. To zresztą chyba i łatwiej. Łatwiej osiągnąć jednoznaczność.

Nie wołam broń Boże o wszystkoizm. Więc? Propozycje byłyby oczywiście śmieszne. I nikomu nie potrzebne. Ale jednego jestem pewien, tego, że owa niekonsekwencja, choć nie z „odwilży" przecież rodem, budzi jednakże, jeśli nie wątpliwości, to w każdym razie uczucie niedosytu. Nie pokazano tu najtrudniejszego. Mówiąc symplicystycznie (bardzo mi się to słowo podoba) — dziura, choć sprytnie załatana w stylu: wiem, a jakże, widzę.

5.

Można by mówić o uproszczeniach w ukazywaniu ideologii, filozofii wrogów rewolucji, wrogów partii. Nie wiele oni myślą, nie wiele reprezentują. Coś nie coś rusza mózgiem Bonawentura-Kujawiecki, jeszcze poniektóre figurki, Brandtowie czy Kulibaby zdradzają przynależność do gatunku homo sapiens. Ale to jest wszystko filozofia całkowitej dezaprobaty, nienawiści. Wiemy, że racje bardzo wielu z tych, którzy w tamtych latach nie byli z a — były o wiele bardziej złożone. Ale to jest kwestia wyboru. Tych „skomplikowanych" załatwił Putrament — jak już mówiłem — kilkoma refleksjami Urbana. A ci, których wziął na celownik, ci z drugiego bieguna — przedstawiciele faszyzmu pozbawionego panowania — byli naprawdę tacy. Ślepi, zapluci, bliżsi całej fauny — od gadów po drapieżne kręgowce — niż człowieka.

6.

„Rozstaje" to także (jak „Wrzesień") powieść o sztabach. Po stronie Turonia poza sztabem widzimy bądź postacie bez twarzy — oczajduszów puszczających bąki pod nos delegata, bądź twarze z krzywego zwierciadła (Pisula). Za to reszta, to sam kwiat berezo-faszyzmu, Turonie, Przepiórkowscy i — jeszcze wyżej — Fierle, Pisiowie, wszystko na szczeblu s t a n u. I wszystko — jak się powiedziało — obnażone do dna swojej ohydy. Po stronie rewolucji też mało spotykamy ludzi z dołu. Jest Malisiewicz (ten „mały" Urban), Skirło młody, jeszcze paru statystów. Nawet w powiecie jeszcze nie bardzo wyraźnie (jednowymiarowy Nowacki, nieco mityczny Bubień). Dopiero Lublin, Warszawa, Komitet Wojewódzki, Bezpieczenstwo ukazują się nam z bliska, w ruchu, w pełni życia, działania. Tu każde zdarzenie, każde słowo Tołłoczki czy Sinickiego, każda myśl Urbana jest częścią jakiejś wyższej, nadrzędnej sprawy, czegoś co się dzieje wszędzie, w ludziach i poza nimi — częścią rewolucji. Widzimy mózg rewolucji — partię, rozumiemy i przeżywamy jej działanie. Ale — czasami, gdy patrzymy na pracę sztabów opada nas niepokój: Walka to czy tylko manewry? Bo choć Putrament tak prowadzi akcję, by czytelnik nie spostrzegał doraźnie w polu widzenia braku dołowego, szeregowego żołnierza i sojusznika — to jednak brak ten odczuwamy, gdzieś w jakimś ogólnym, sumarycznym wrażeniu. Czerwiński w „Przeglądzie" pisał, że wokół tej bitwy jest obszar nieco zamglony. To nie byłoby źle. Gorzej, że gdzieniegdzie spod mgły wyłania się pustka, w miejscu której tylko domyślamy się czegoś.

7.

Godny uwagi fakt, że w „Rozstajach" postaci pozytywne nie ustępują „w wykonaniu" negatywnym. I pod tym względem powieść Putramenta jest jak dotąd, prawie białym krukiem. Ograniczmy się do bohaterów centralnych. Nie będę się spierał, czy Urban jest bardziej prawdziwy od Turonia, jest natomiast z całą pewnością n o w s z y od niego, kryje w sobie (jako twór literacki) większe bogactwo, większą sumę odkryć. O Turoniach wiemy już prawie wszystko, o prawdziwym bohaterze komuniście wiemy o wiele za mało. Tę wiedzę „Rozstaje" wzbogacają o jeden kapitalny wariant, nie zmitologizowany ani utrefiony, wytrzymujący wszystkie przymiarki, te antyschematyczne i te na serio, z życia. Nie to, że Urban nie ulega „przestrogom", jest sukcesem Putramenta (tak robią wszyscy ci z brązu), ale to, jak się opiera i dlaczego; nie to, że jest zawsze i wszędzie na swoim miejscu (to robią wszyscy ci z papieru), ale jak to czyni i dlaczego. Okazuje się raz jeszcze, że można coraz nowiej i pełniej ukazywać pięknych ludzi naszego czasu, nie robiąc z nich piegowatych aniołów. Postać Urbana, surowego i prostego ale bynajmniej nie ubogiego duchem komunisty, przerasta z całą pewnością program minimów ideowych i artystycznych, jest zdobyczą. Miara i waga tej zdobyczy nie da się ustalić w centymetrach i gramach, ale nawet najbardziej „wyśrubowane" kryteria nie umniejszą jej, ani jej zaprzeczą.

8.

Pora podkreślić — i przystąpić do sumowania, czyli rzec coś o cennym kroku naprzód lub interesującej pozycji. Ale korci mnie coś, by zamiast bilansować niczym kiepski księgowy — podociekać trochę przyczyn tego, że nie wszystko w „Rozstajach" zostało wygrane tak jak choćby we „Wrześniu". Czy tylko to, że temat bardziej współczesny, trudniejszy? Chyba nie tylko to. Więc?

Pamiętam jakieś plenum literackie, na którym autor krytykowanej za schematyzm powieści z rozbrajającą szczerością przyznał że — zmęczony — zrobił sobie p i e r e d y s z k ę i napisał pod postulaty. Wówczas Putrament pięknie odrzekł, że w naszym zawodzie p i e r e d y s z e k n i e t. Otóż to. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że „Rozstaje" zostały napisane nie to że dla pieredyszki i pod postulaty, ale — mimo wszystko trochę tak w międzyczasie. Po prostu nie wszędzie starczyło dociekliwej pasji, miejscami doszło do głosu „alter ego" pisarza — rzemiosło. Tam właśnie wyszły dziury, albo w lepszym razie spełnienie programu minimum.

9.

Kończyłem już te postrzępione nieco notatki, kiedy w tej samej sprawie odezwało się „Życie Literackie" ciętym piórem Andrzeja Wasilewskiego. Recenzja ta zastanowiła mnie zwłaszcza w miejscu, gdzie mowa o szarży i dostosowaniu się autora do trywialnych bohaterów. Widać Wasilewski pisał recenzję na świeżo po lekturze, skoro ta Putramentowa szarża udzieliła się po trosze i jemu. Przyznam, że nie rozumiem „psychologii rozróbki" i nie dostrzegam u Turoniów „drapieżnej namiętności przewodzenia" (odwrotnie, Turoń chętnie nadstawia się pod mordobicie Kamali i Fierli). Widzę natomiast zwierzęcą walkę o prawo silniejszego, które daje jedyną rację bytu w tym kłębowisku żmij. Nie wiem także, dlaczego przy ukazywaniu dna ludzkiego upadku pisarz miałby się ubierać w tiulowy garnitur, skoro nigdy nie należał do tych co mówią przez kwiatek i z każdego materiału budują szkatułki o siedmiu dnach (przez które nb. i tak wszystko wyciecze). A co do trywialności, to już staruszek Boccaccio i niepoczciwy Rabelais grzeszyli trywialnością — oczywiście w oczach tych, którzy istotnego jej sensu pojąć nie mogli czy nie chcieli.

Bogusław Kogut

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

Spór o Machejka czyli ostrożnie z doradcami

Może się to komuś wydać dziwaczne, że już drugi z kolei artykuł zaczynam od porachunków z krytyką literacką, lecz cóż począć! Żywię do niej tyle zastarzałych pretensji, że kto wie, czy i na tej rozróbce poprzestanę. A nawet, jeśli mam być zupełnie szczery, wyznam, że już z góry sobie to i owo odłożyłem złośliwie na później. Dziś, przy okazji omawiania ostatniej powieści Machejka *) chciałbym wziąć na ząb tylko jeden problem, a mianowicie „dobre rady pani Zofii".

Pamiętam, że gdy któryś z poetów mojego rocznika wstąpił do klubu sportowego z zamiarem pływania na długie dystanse, rzecz skończyła się na jednym przepłynięciu basenu — trener bowiem stwierdził u delikwenta „szrubę". Nie mam pojęcia, na czym owa „szruba" polega, zdaje się, że to jakiś wrodzony feler w nogach, lecz mniejsza o to; ważniejszy jest fakt, że wyklucza ona uprawianie danej dyscypliny sportu i że biedakowi z miejsca zwrócono na to uwagę.

Tymczasem krytyka dostrzega u nas często tylko jedną odmianę „szruby" — ideologiczną. Kiedy natomiast Zieliński przerzucił się z krótkich opowiadań na powieściowy cykl „Ostatnich ogni", nasi trenerzy literaccy przyjęli go oklaskami, ślepi na to, że znakomity sprinter zarzyna się w roli Zatopka. A sprawa Putramenta? W obu jego ostatnich powieściach satyra wielkiego kalibru kłóci się z naporem niezbyt odkrywczej epiki, zmaga się, szamocze, kłębi; widzimy rozterkę pisarza, który jeszcze nie w pełni dogadał się sam ze sobą, lub też chciałoby się powiedzieć — nie całkiem r o z e z n a ł s i ę w s o b i e. I jak mu w tym procesie pomaga Andrzej Wasilewski? Zamieszcza w „Życiu Literackim" recenzję, świetnie wprawdzie napisaną, lecz chłoszczącą w gruncie rzeczy to, co u Putramenta jest najcenniejsze, niepowtarzalne, jedyne — czyli pociąg do pamfletu politycznego. Oczywiście, mogą być pamflety bardziej czy mniej udane — a ten z „Rozstajów" jest bez wątpienia gorszy od tamtego z „Września" — ale nawet najsłabsza groteska Putramenta jest w obu książkach lepsza, niż jej przyległości „na serio".

Nie wiem, czy Putrament posłucha swego doradcy — Machejek, niestety, swoich posłuchał. Przeglądałem niedawno garść recenzji, opublikowanych w prasie po ukazaniu się „Pamiętnika sekretarza" i dreszcz przeszedł mi po skórze. Autorzy tych recenzji, podobnie jak nasi producenci skarpetek, mają przed oczyma tylko jeden rozmiar klienta — wielkoluda. Ich żurnal mód, wypełniony pięknymi modelami, tylko w nieznacznym stopniu liczył się z potrzebami bieżącego odbiorcy. Wymyśliwszy sobie własnego Machejka — Machejka wielkiej fabuły i orzeczeń moralnych — zlekceważyli tego, który istnieje naprawdę. Kronika rewolucji, zawarta w „Pamiętniku sekretarza", była dla nich zaledwie szkicem, brulionem, konspektem. „Czy na tym poprzestać można?" pytała Z. Kwiecińska w „Trybunie Ludu" i niezwłocznie sama sobie dawała odpowiedź: „Bezwarunkowo — nie. Temat czeka jeszcze na opracowanie, na pogłębienie literackie, na powieść, na epopeję nawet". Wtórował jej Maciąg na łamach „Twórczości": „Pamiętnik ten, — to materiał na wielką powieść polityczną z lat przełomowych w trudnym okresie wyzwolenia. Na razie uszeregowano tu tylko fakty, stworzono pewne ramy akcji, zarysowano postaci. Autor podobno nosi się z zamiarem artystycznego opracowania pamiętnika, stworzenia z niego powieści. Zamiar jak najbardziej słuszny — materiały pamiętnika same taki zamiar sugerują". W rok później tenże sam Maciąg precyzował jeszcze wyraźniej swoje postulaty wobec Machejka: „Nie ilustracja historii, ale rozwiązywanie problemów moralnych, stojących przed ludźmi...", „...sproblematyzowanie postaci, postawienie każdej z nich przed osobnym zagadnieniem moralnym" — takie miały być zadania autora.

Sam nie wiem, czym te słowa tłumaczyć. Czy cytowani wyżej krytycy naprawdę choć przez chwilę mogli przypuszczać, że Machejek taką powieść napisze? Że — porzuciwszy prozę pamiętnikarską — błyśnie dramatem moralnym? Czy naprawdę nie rozumieli, że mają do czynienia z odmiennym gatunkiem pisarstwa? Że w tej podróży należy brać kurs nie na Szołochowa, lecz raczej na Jana Chryzostoma Paska? Nie wiem. Pewne jest tylko jedno: że Machejek spróbował wcielić ich rady w życie. Skłócony wewnętrznie, szarpany wątpliwościami, czasem bezradny wobec niemożności wyrażenia tego, co ma do powiedzenia o świecie, poszedł na „wielką epikę".

Pierwszym jej owocem był „Żywy ogień". Proszę mi darować, że użyję zbankrutowanych metod statystycznych, ale tu słowo „ewidencja" znaczy zarazem „ocena". Wystarczy bowiem powiedzieć, że na 355 stronach występuje 140 personaży, aby zrozumieć, co Machejek narobił w tej książce! Klarowna jedność akcji, narzucona w „Pamiętniku" przez użycie pierwszej osoby, została tu rozbita w proch i pył, zdruzgotana, zniweczona do cna szaleńczym wybuchem wielowątkowości. Tłumy nazwisk (bo przecież nie postaci!), przelewające się przez tekst wezbranymi falami, tratowały materiał, deptały w nim wszystko, czym można się było — w innych warunkach — radować. Czy o „Żywym ogniu" można w ogóle mówić jako o powieści? Nie, to rozbita szafa w biurze personalnika! I z okazji tej właśnie szafy Z. Kwiecińska miała odwagę napisać, że jest to „książka, będąca w twórczości Machejka krokiem naprzód". Drawicz zaś mówił o „dużym postępie". A Maciąg? Maciąg — z lekka tylko zaniepokojony — wciąż niestrudzenie uczył Machejka zasad „fabularstwa". Właśnie wtedy popłynęła spod jego pióra zbawienna zachęta do „zagadnień moralnych". Strzyżono Machejka „pod garnek", na równo, na gładko, u k ł a d a n o go, dawano mu lekcje prozatorskiej kindersztuby, zmuszano do trzymania łokci przy sobie. I to wszystko w imię fikcyjnej epopei, która miała ukoronować wysiłki krytyków. Mówiono, że już jest lepiej, a będzie całkiem dobrze, byle Władzio zechciał zmniejszyć ilość postaci, ograniczyć życiorysy i retrospekcje, byle jeszcze wyszlifował język, byle robił tak, jak się robi w powieściach.

No i zrobił. Mamy drugi tom „Współczesnych chłopów", czyli „Po wojnie". Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że nie jest on lepszy od swego poprzednika. Jest — już choćby z tego względu, że Machejek naprawdę zredukował etaty: już tylko czterdzieści sześć nowych osób wiąca się do akcji a i tym dano przydziały na ogół tylko do drugiego planu. Powieść — bo w tym wypadku trzeba już mówić o złej czy dobrej, ale jednak powieści — a więc powieść ma przejrzystą budowę, wiadomo o kogo i o co w niej chodzi, wypadki następują w jakimś tam logicznym porządku po sobie, a wnioski wychodzą poza granice podręcznika najnowszej historii Polski i dają się rozpatrywać w bardziej ludzkich kategoriach. Machejek — z trudem bo z trudem — utrzymał się jednak wokół sprawy małżeństwa Skórów i na jej przykładzie wyłuszczył nam większość swoich racji.

Ale czy Maciąg może być z tych sukcesów w pełni zadowolony? Nie sądzę — to krytyk zbyt inteligentny, aby nie widział, że w rodzinie rdzennych powieści książka Machejka znajdzie się zaledwie na prawach przyrodniej siostry. Teraz, gdy spłynął — mówiąc językiem powidlarzy — cały „szum", pokrywający poprzednią pracę Machejka, gdy przed oczyma czytelników zrobiło się widniej i przestronniej, a sprawy językowe przestały wreszcie zaciemniać obraz sytuacji, bankructwo rad Maciąga ukazuje się — według mnie — w całej okazałości.

Będę okrutny — ale czyż mam prawo powstrzymać się od tego? — a więc będę właśnie taki i powiem po prostu: Machejek nigdy nie stworzy dobrej powieści. Nie stworzy, bo nie może. Trzeba być ślepym, by nie widzieć, że jest to pisarz bez wyobraźni. Gdziekolwiek chce przekroczyć granicę widzianego konkretu, gdziekolwiek próbuje przejść od spostrzeżonych faktów do własnych konstrukcji literackich — ponosi porażkę. A szczególnie na tym gruncie, na który syrenim głosem wabił go Maciąg: na gruncie problemów psychologicznych. Nie chcąc przedłużać tego bolesnego wywodu, nie będę grzebał w tekście, aby pokazać, jak bezradny jest Machejek wobec tego, co dzieje się w ludzkim wnętrzu, nie będę cytował ani wskazywał palcem na słabości, albowiem i tak — przynajmniej do tej pory — byłem zapewne przez wszystkich rozumiany na opak. Bo mogło w kimś powstać wrażenie, że ja tu Machejka rozcieram na puder. A ja go chcę uratować. Albowiem co komu przyjdzie z tego, że — nauczony, czy może raczej ujarzmiony — będzie pisał poprawne, ale też tylko poprawne powieści? T o zrobią inni lepiej od niego. Ale jest coś, w czym go nie można wyręczyć, coś, co tylko on, jeden jedyny w całej Polsce może zrobić dobrze. I o to właśnie spieram się z jego krytykami, a po części także i z nim samym.

Przecież Machejek to niebywały, znakomity, samorodny talent pamiętnikarski! Przecież w tej właśnie pamiętnikarskiej konwencji mógłby się stać kimś w rodzaju — bo ja wiem? — może Samuela Pepysa naszej rewolucji? I to nie tylko dlatego, że on jeden ze wszystkich polskich pisarzy przeżył to wszystko tak namacalnie, w pierwszej linii, u s a m e g o d o ł u — choć u pamiętnikarza jest to rzecz niemal tyle warta co i sam talent. Nie, sęk w tym, że Machejek radzi tu sobie doskonale własnie jako prozaik. Jest ruchliwy, czujny, spostrzegawczy, na przemian to błyska delikatnym humorem, to zaskakuje nas dramatycznym spięciem, prawie nigdy nie wpadając w rozwlekłe opisy, prawie zawsze trzymając czytelnika w naprężeniu. Przecież „Pamiętnik sekretarza" — jeśli pominąć dwie czy trzy strony zbędnych wtrętów — to całkowicie samodzielny, bardzo zręcznie zrobiony i nie wahałbym się powiedzieć — piękny drobiazg literacki. Literacki oczywiście w ramach pewnego gatunku, częstszego w latach ubiegłych niż dzisiaj, lecz jeszcze przez to samo bynajmniej nie godnego pogardy. Co ciekawsze, wystarczy porównać „Na krańcu" ze wszystkimi pozostałymi utworami Machejka, aby stwierdzić, że pamiętnik ten stoi najwyżej pod względem czysto warsztatowym: tu dialog jest najtrafniejszy, tu pointy cisną się jedna za drugą, tu kompozycja jest najczystsza, a sylwetki — własnie przez skrótowość rysunku — najbardziej interesujące. „Ogień" oglądany wyłącznie od zewnątrz, oczyma sekretarza, o ileż jest drapieżniejszy i po prostu prawdziwszy od panicza Eustachiusza z „Współczesnych chłopów", choć tam autor nie pożałował mu analiz i „motywacji". Podobnie ma się sprawa z mecenasem Nowodworskim — gdzież mu do Drewniaka z Nowego Targu! A przecież Drewniak — to pięć czy sześć pośpiesznych „acapitów", podczas gdy Nowodworskiemu poświęcono całe rozdziały. A jeśli już mowa o „Po wojnie", to chciałbym zwrócić uwagę na jedno: są w tej książce wysmienite rozdziały, czy pojedyncze sceny, chociażby takie, jak historia sztandaru PSL, czy walki o torfowisko, są też doprawdy świetne migawki obyczajowe i — nim przejdę do właściwego wniosku — nie mogę się powstrzymać od przytoczenia jednej, która mi szczególnie przypadła do gustu. Dotyczy ona wizyty zaręczonych u proboszcza: „Gdy się przychodziło do niego „na pacierze", on dotąd męczył oblubieńców pytaniami w kwestii wiary, dopóki któregoś z nich nie „złapał". Wtedy ktoś ze starszych przybyły z młodymi naciskał kurę w koszyku, by zaskrzeczała. Jeśli odezwały się dwie, ksiądz kończył egzaminowanie i twierdził, że chwała Boska zyska nowe, wzorowe chrześcijańskie małżeństwo". A jednak nie o tych cackach się pamięta, zamykając książkę, lecz w pierwszym rzędzie o niezbyt fortunnym wątku Stacha i Janki, czy Eustachiusza i Krystyny. Bo jeśli już autor raz nastawił nas na odbiór powieści, to niech się potem nie dziwi, że będziemy mu wymierzać sprawiedliwość według powieściowego kodeksu. Proza Machejka c h o r u j e n a p o w i e ś ć jak na raka i ten rak niepostrzeżenie zżera nawet najzdrowsze tkanki utworów. Gdyby to wszystko, co w „Po wojnie" jest dobre, czy miejscami nawet świetne, a co — w wyniku założeń autorskich zepchnięte zostało między kulisy — gdyby więc to wszystko mierzyć w kategoriach pamiętnika, ludowej kroniki, czy literackiego dokumentu, można by wówczas śmiało mówić o „honorach". A tak, niestety, tylko o „blotkach".

Wielka szkoda, że pisarz, który trzy lata temu był tak blisko znalezienia właściwego kształtu literackiego dla swych przejmujących przeżyć, dał się potem uwieść niektórym lekkomyślnym krytykom i rozstał się na jakiś czas z formą pamiętnika. Groziło mu, że zanim do niej wróci, zdąży się tymczasem wyjałowić w nieporęcznych dlań gatunkach prozy.

Na szczęście stało się inaczej i tu — nie chcąc być gołosłownym — muszę dopuścić się niedyskrecji. Otóż niedawno, bo zaledwie przed dwoma miesiącami, miałem możność zapoznania się z maszynopisem najnowszej pracy Machejka, czyli z nową wersją „Pamiętnika sekretarza", rozszerzoną w trójnasób i doprowadzoną przez to do rozmiarów „normalnej" książki. Otóż muszę stwierdzić, że przeczytałem ją dosłownie jednym tchem, pełen radości, a chwilami nawet zachwytu. Jestem pewien, że w ramach literatury pamiętnikarskiej stanowi on nie byle jaką rewelację, zaś w rozwoju autora — tym razem naprawdę — siedmiomilowy krok naprzód. Zamknąwszy maszynopis, pomyślałem o Machejku z ulgą: chyba jednak ocalony.

Aleksander Ścibor-Rylski

*) Władysław Machejek: P o w o j n i e. Warszawa, 1954. Wyd. MON, str. 306, 1 nlb.

SPROSTOWANIE

W zbiorze wydanym przez „Książkę i Wiedzę" pt. „O armii, która nas wyzwoliła", błędnie podane zostało nazwisko tłumacza wiersza S. Kirsanowa pt. „Dwa słowa".

Autorem przekładu nie jest Tadeusz Mongird lecz Robert Stiller, co niniejszym prostujemy.

Wydawnictwo „Książka i Wiedza"

Na tematy przeważnie dydaktyczne

(Dokończenie ze str. 2)

Marii Dąbrowskiej — to stanowczo za mało. I Tuwim z lat międzywojennych został uwolniony z mnóstwa kardynalnych zarzutów. Nie figuruje już pod etykietką „ekspresjonizm". Twórcy nowego programu zrozumieli, że aczkolwiek „nie krytykował" on „ustroju kapitalistycznego", to ograniczając się do krytyki „schyłkowej kultury burżuazyjnej" godził właśnie w ten ustrój. Zrozumieli, że walczyć w ustroju faszystowskim o godność człowieka nie jest rzeczą tak błahą i że ostrym swym piórem poetyckim śmiertelnie raził w antyhumanistyczne, faszyzujące zasady ustroju krzywdy i pomiatania godnością ludzką.

Czy program nas zadowala? W porównaniu z poprzednim programem dla klas VIII—XI jest on niewątpliwie krokiem naprzód, ale wymaga jeszcze, nawet tam gdzie te zmiany dają się najwyraźniej zaobserwować, wiele przemyśleń i zastanowień. Niestety zawisła jeszcze w X-ej klasie, jak zmora, skłonność do etykietowania, jeszcze daje się zauważyć wielkie zagęszczenie tematyczno-materiałowe, prowadzące niechybnie do werbalistyki. Jeśli np. w ciągu dwu godzin lekcyjnych nauczyciel ma omówić pobyt Mickiewicza w Rosji, wykazać uczniom „pogłębienie świadomości społecznej i politycznej w zetknięciu z kołami postępowej inteligencji rosyjskiej, przede wszystkim z dekabrystami. Przyjaźń z Puszkinem. Rozwój kunsztu poetyckiego. Omówienie wierszy Puszkina „Wieś" i „Pismo na Sybir" a w dodatku przeanalizować cztery sonety Mickiewiczowskie (Burza, Mogiły haremu, Ajudah, Stepy Akermańskie), jest rzeczą zrozumiałą, że żądanie „analizy obrazów przyrody krymskiej, orientalnych motywów w pejzażu, metaforyce i słownictwie jako elementów realizmu" itp. — może tylko pozostać w sferze pobożnych życzeń... W ogóle należałoby raz ustalić, co bardziej wpływa w wychowawczym oddziaływaniu na ucznia — i l o ś ć pozycji, czy j a k o ś ć ich opracowania? Wówczas nie byłoby tego zagęszczenia. Obrany kierunek zmian jest słuszny, ale wymaga niewątpliwie jeszcze dalszego kroku.

PROGRAM SZKOLNY CZY ROZKŁAD JAZDY PKP

Każdy, kto w ciągu ostatnich lat zwiedził nasze szkoły, na pewno zauważył jak sprawnie działa harmonogram zajęć. Można bez obawy przepowiedzieć, że w tych a tych dniach w klasach jedenastych będzie mowa o „Przedwiośniu" Żeromskiego, że tego a tego dnia klasa ósma będzie przerabiała „Anielkę" Prusa, a dziewiąta „Muzy lub wstęp do Psałterza Kochanowskiego". Czy to źle? Ogólnie rzecz biorąc — dobrze. Świadczy to — używając terminologii naszych zakładów pracy — o rytmicznej pracy szkół na terenie całego kraju. Jest to jednocześnie gwarancją, że ta planowość spełni postulat przerobienia całego materiału. Czy nie prowadzi ten wykres do „szturmowszczyzny"? Owszem. Wystarczy by nauczyciel zachorował lub opuścił lekcję z powodu konferencji, by musiał uciec się do „lekcji zerowych", tj. dodatkowo obciążyć uczniów i siebie ponadplanowymi godzinami zajęć lub ograniczyć się do krótkiego konspektu opuszczonych lekcji po to, by jak najprędzej wskoczyć do normalnego „rozkładu jazdy".

A rozkład jazdy jest dokładny jak na PKP i przez inspektorów łatwo sprawdzalny. Trzeba pamiętać, że nauczyciel musi mieć w pogotowiu plan roczny, kwartalny, miesięczny i konspekt aktualnych lekcji. Trzeba pamiętać, że materiał miesięczny zostaje omówiony na zespołach przedmiotowych Wojewódzkich Ośrodków Doskonalenia Kadr Oświatowych (czytaj WODKO), gdzie oficjalnie omawia się „ogólne wytyczne", a w praktyce nauczyciele mogą nabyć dość szczegółowo opracowany plan tematyczno-lekcyjny na cały miesiąc. WODKO planów lekcyjnych nie uchwala, wysłuchuje tylko projektów omówień i pracy, tylko uczestniczy w dyskusji dokoła propozycji wytypowanego nauczyciela-referenta, ale w praktyce zaaprobowane „wytyczne" nauczyciele traktują jako puklerz zasłaniający ich przed formalnymi wymaganiami wizytatorów i inspektorów, a więc jako „m i a r o d a j n e w y t y c z n e"...

Przysłuchując się lekcjom w starszych klasach w Tarnowie, Gąbinie czy Warszawie, nie trudno mi było przekonać się, że temat lekcji jest żywcem ściągnięty z „wytycznych", że nauczyciele często nie zadają sobie nawet trudu innego sformułowania tematu. Dlatego też można z pewnością powiedzieć, że w 90 wypadkach na 100 mówiąc np. o III-ej części Dziadów znajdziemy w brulionie ucznia taką notatkę „Widzenie księdza Piotra jako wyraz (lub symboliczny obraz) polityczny stosunków Europy pokongresowej".

C z y t o ź l e ? W m o i m p r z e k o n a n i u — t a k.

O co chodzi? Lekcja musi mieć charakter t w ó r c z y. Musi się liczyć z usposobieniem, sposobem rozumowania, stopniem wyrobienia uczniów. Bez aktywności klasy, bez wzbudzenia zainteresowania przedmiotem wykładu, trudno sobie wyobrazić dobrą, kształcącą rozum i uczucia, lekcję. Polonista, jak zresztą każdy inny nauczyciel, nie może się ograniczać wyłącznie do dokładnego realizowania „wytycznych programowych" (określenie to ściągnąłem z konferencji WODKO), lecz traktować je jako busolę. Wiadomo, że nie ma dwu klas podobnych. Jeśli, dajmy na to, w pewnej szkole będą trzy lub cztery klasy dziesiąte, złudnym będzie mniemanie, że nauczyciel może te same metody i to samo tempo stosować w każdej z tych klas. W jednej X-ej klasie może być zestaw uczniów „ciągnących" dobrze, tj. o zainteresowaniach i upodobaniach humanistycznych, w drugiej — ton mogą nadawać przyrodnicy czy matematycy, w trzeciej — sportowcy, a w czwartej — dojrzewający chuligani (bo i to się zdarza!). Jakże można w ten sam sposób rozmawiać z uczniami o zainteresowaniach humanistycznych jak z uczniami, których z trudem można zainteresować? Ponadto u młodzieży dużego miasta, miasta prowincjonalnego czy też miejscowości wiejskiej (a mamy szkoły średnie i tam) poziomy, rozległość zainteresowań, skala doświadczeń, wrażliwość, są różne. Jakże można osiągnąć należyte rezultaty wychowawcze, nawet przy najlepiej sformułowanych wytycznych, jeśli wytyczne te pozostawiają właściwie tak niewiele inicjatywie oddolnej samego nauczyciela? Nie pozwalają mu na liczenie się z profilem klasy? „Rozkład jazdy" mający ułatwić nauczycielowi rozplanowanie materiału na każdy miesiąc widzi jeden jedyny cel: by cały materiał został przerobiony i to w sposób taki jak sobie wyobrażają kierownicy Ośrodków Wojewódzkich i Powiatowych, nie uwzględniając, że dla twórczego nauczyciela, jest on przeszkodą. Zamiast tego by nauczyciel, zgodnie z zainteresowaniami uczniów, udzielił temu dziełu, które chwyciło, więcej czasu, a temu, które pozostawiło uczniów obojętnymi — mniej, musi on, bez względu na temperaturę klasy, dokładnie trzymać się z góry przeznaczonych godzin. W przeciwnym wypadku grozi mu negatywna ocena inspektorów, którzy wiedzą dokładnie co danego dnia, na danej godzinie na terenie kraju powinno być na warsztacie; którzy już zasadniczo wiedzą nie tylko jaki autor, czy jakie dzieło powinno być przerabiane, lecz jakie powinno być hasło w brulionie ucznia, pod tym a tym numerem lekcyjnym, zapisane.

Doświadczeni pedagodzy sarkają na to prokrustowe łoże, a jednak przychodzą nawet na nieobowiązkowe zebrania WODKO po to, by się dowiedzieć „czego oni chcą". (Ostrożność nie zawadzi...)

Szczególnie zadowoleni z kierownictwa odgórnego, z instrukcji i możności nabycia planu tematyczno-lekcyjnego na bieżący miesiąc, są młodzi nauczyciele. Zaczerpnąwszy wytycznych, robią zgodnie z nimi jakie takie konspekciki i przekazują je w stanie dość często nieprzetrawionym uczniom i krąg zwalniający od myślenia i nauczycieli i uczniów jest zamknięty.

PLAGA FORMALIZMU

Doświadczeni pedagodzy skarżą się: mamy tak wymierzony i z góry ustalony czas na każdą pojedynczą pozycję programową, program jest tak przeładowany, że wprost nie ma możliwości na szersze, uogólniające, syntetyzujące ujęcie materiału. Chcecie, byśmy się liczyli z zainteresowaniami uczniów, by od czasu do czasu zboczyć z tematu, by szerzej spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość, by literatura przestała być tylko przedmiotem, lecz stała się przeżyciem? Bardzo pięknie! Ale mamy plan, mamy wytyczne i musimy się ich trzymać...

Gdy słuchałem wypowiedzi tego rodzaju, przypomniały mi się słowa pewnego moskiewskiego profesora. Było to w 1940 roku w Białymstoku. Przyjechał on, by zaznajomić nauczycielstwo z zasadami wychowawczo-oświatowymi szkoły radzieckiej. I ma się rozumieć, udzielił sporo uwagi problemowi planowania lekcji.

Będąc obecny na tym odczycie, podszedłem do niego po wykładzie i zapytałem jak ma to planowanie wyglądać w praktyce. Zgadzam się z tym, że nauczyciel musi przemyśleć przedmiot swego wykładu metodycznie, znać obszernie to wszystko co ma zamiar przekazać uczniom. Ale, dajmy na to, zaplanowałem wycieczkę nad staw, by pokazać dzieciom skrzek żabi i, jak na złość, dzieci po drodze zauważyły kukułkę koło gniazda i bardzo ich to gniazdo i ta kukułka zainteresowały. O kukułce co prawda będę jeszcze w tym roku mówił, ale według planu o wiele później, a skrzek mam przerobić teraz na początku maja. Co powinienem czynić? Profesor ów odpowiedział: p l a n j e s t p o t r z e b n y, a l e n i e p o t o, b y s i ę g o n i e w o l n i c z o t r z y m a ć. Wydaje mi się, że zrozumiałem jego myśl słusznie: nauczyciel m u s i w i e d z i e ć co i jak powinien podczas danej jednostki lekcyjnej osiągnąć, musi się do lekcji rzetelnie przygotować. Nauczyciel musi też widzieć przed sobą program dla danej klasy i starać się go realizować. I o tyle jest ważny plan. Nie może jednak nauczyciel być niewolnikiem planowania. Musi liczyć się również z indywidualnością uczniów i klasy. Jak dotychczas nasz nauczyciel traktuje planowanie jako obowiązek u r z ę d n i c z y. I w rezultacie rzadko kiedy lekcja odbiega od martwych, przesiąkniętych frazesem pseudomarksistowskim „wytycznych". Nie wychyla się dla pewności, odpoczywa intelektualnie, bo ma już wskazówki metodyczne i ideologiczne „rozpracowane" bez jego aktywnego udziału. Na gotowe...

GDYBYM MIAŁ PRAWO WYDAWANIA ZARZĄDZEŃ...

Czy można wobec tego stanu rzeczy przewidzieć dosłownie brzmienie odpowiedzi na egzaminach maturalnych? W Gąbinie np. przekonałem się, że można i to z dokładnością do paru słów. Na lekcji poświęconej twórczości Kraszewskiego rzucało się w oczy, że odpowiedzi uczniów są do siebie, rzec można, bliźniaczo podobne. Wziąłem parę brulionów z polskiego i porównałem notatki. Okazało się, że u wszystkich uczniów są zanotowane niemal dosłownie te same charakterystyki i wypowiedzi. Jeden uczeń pisze, że twórczość Kraszewskiego dzieli się na kilka etapów, inny na kilka okresów; jeden powiada, że w pierwszym etapie „opiera się na innych pisarzach", a drugi — „opiera się na innych poetach". Takie są te różnice. Wertując bruliony wstecz zaciekawiłem się charakterystyką twórczości Norwida. Oto jej brzmienie: „Poezja Norwida posiada charakter złożony, składa się z elementów postępowych i częściowo wstecznych. W twórczości Norwida postępową jest krytyka zacofania szlachty polskiej, a obok tego wiemy, że Norwid w roku 1848 walczył po stronie gwardii papieskiej, że potępia Komunę Paryską z 1871 roku. Z twórczości Norwida najlepszymi są jego liryki, jednak obok nich jest Norwid dramaturgiem, prozaikiem a także autorem poematów dydaktyczno-filozoficznych. Do najbardziej znanych utworów dramatycznych należą „Kleopatra", „Aktor". Jednym z najbardziej znanych jest utwór „Promethidion". Utwór ten zawiera teorię sztuki narodowej. Wyraża się ona w tym, że sztukę trzeba połączyć z pracą. Oprócz tego Norwid jest znanym jako jeden z największych wielbicieli muzyki Szopena (Chopina). W związku z tym napisał utwór pt. „Fortepian Szopena". Utwór ten został oparty na autentycznym wydarzeniu wyrzucenia fortepianu na ulicę w czasie powstania styczniowego".

Na początku wydawało mi się, że to jeden uczeń ściąga te „mądrości" od drugiego. Niebawem przekonałem się, że niesłusznie ich posądzałem. Błędy spowodowane n i e d o s ł y s z e n i e m słów nauczyciela upewniły mnie, że mamy tu do czynienia z „dyktandem". (W jednym zeszycie zamiast „potępia" Komunę Paryską — było „popiera"). Po lekcji nauczyciel przyznał, że wykłada powoli, by uczniowie zdążyli zanotować... Zainteresowałem się, skąd nauczyciel czerpał natchnienie do omówienia w tak niezłożony sposób złożoności twórczej Norwida. Okazało się, że, jak dotychczas, wykładowca ów, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego, pracujący już drugi rok w szkole, stosuje zeszłoroczne konspekty. Jeśli tak dalej pójdzie, można będzie uczniom przechodzącym do następnych klas zaoszczędzić konspektowania dyktowanych mądrości. Można będzie po prostu odstąpić bruliony młodszym klasom, bo wykłady, jak widać, odbywają się bez względu na pogodę...

Najsmutniejsze w tym jest to, że nie jest to tylko bolączka Gąbina. Zmiana programowa nie wszędzie jeszcze dotarła, a wymaganie rzetelnej samodzielnej pracy nauczycieli, stworzenie atmosfery twórczego wysiłku pedagogicznego, wymaganie samodzielności przez ograniczenie metody, odgórnego kierowania całym procesem nauczania „wytycznych" zmusiłoby nauczycieli do samodzielnych poszukiwań, do czytania literatury krytycznej z zakresu estetyki marksistowskiej, zmusiłoby do szukania odpowiedniej metody, podejścia zgodnie z profilem „duchowym" danej klasy, miejscowości, pamiątek kulturalnych, do wykorzystania miejsc związanych z życiem czy pobytem danego twórcy w ich rodzinnych stronach. Może wtedy gdy nauczyciel nie będzie odgórnie zwolniony od samodzielnego myślenia, gdy bożyszczem przestanie być konspektowanie, wtedy instrukcja programowa nabierze prawdziwych rumieńców życia. W wielu szkołach, jak dotychczas, rumieniec ten jest bodajże niezdrowy, suchotniczy...

W pewnej warszawskiej szkole wieczorowej polonistka nie zadała sobie trudu zrewidowania socjologizującego podejścia do twórczości Szekspira. Tłumaczyła rozkwit jego talentu rozwojem sił produkcyjnych w Anglii, fakt napisania ponurych tragedii rozczarowaniem do sprawiedliwości burżuazyjnej. Ponieważ w dalszym wykładzie trzeba było uwzględnić komedie napisane po krwawych tragediach, nauczycielka dodała, że „później nastrój jego się poprawił i napisał komedie"...

Gdy zapytałem owej nauczycielki czy w późniejszych epokach nie było już wcale warunków ekonomiczno-społecznych sprzyjających narodzinom genialnych dramaturgów a pomimo to Szekspira mamy jednego (i on pozostał miarą osiągnięć dramatopisarskich, gdyż najwyższą pochwałą, jak dotąd, jest — „dorównał Szekspirowi"), gdy przy tym zaznaczyłem, że wartość Szekspira nie polega jedynie na demaskatorstwie żądnej władzy arystokracji i dworu, lecz na znajomości duszy ludzkiej, na poezji, na realistycznym widzeniu środowisk itp. — polonistka orzekła, że moje zapatrywania mijają się z instrukcjami i są anarchistyczne...

Szkoda mi było młodzieży tej szkoły, która po dniu pracy przychodzi czerpać wiedzę o Szekspirze od tak pewnej siebie wykładowczyni.

Skąd czerpała natchnienie wspomniana nauczycielka? Z konspektów poprzednich lat i z „Komentarzy metodycznych ogólnokształcących szkół korespondencyjnych", którymi, jak się dowiedziałem, posługują się często nawet nauczyciele szkół ogólnokształcących, gdyż w książkach tych jest podział materiału na miesiące, na jednostki lekcyjne, są pytania i podsumowania, słowem wszystko co trzeba i zgodnie z wymaganiami formalnymi instytucji nadrzędnych...

Opuszczając lekcje tego typu mocno żałowałem, że nie jestem osobą miarodajną, upoważnioną do wydawania zarządzeń i okólników. Gdyby to było w mojej mocy, zakazałbym na okres paru lat konspektowania wykładu nauczycielskiego, nie mówiąc już o bezpośrednim dyktowaniu wykładu uczniom, zabroniłbym „uchwalania" na sekcjach WODKO planów tematyczno-lekcyjnych. Trzeba wydawać dobrą literaturę metodyczną, przyjść nauczycielowi z pomocą w odnajdywaniu i udostępnieniu potrzebnej mu lektury, potrzebnych pomocy naukowych, trzeba mu w trudnościach poradzić, szersze omówienie spraw natury dydaktyczno-wychowawczej i metodycznej co kilka miesięcy przeprowadzić, ale zupełnie niepotrzebnie zwalnia się go niejako od samodzielności, ba, samodzielność jego się hamuje. Wówczas wojewódzkie biblioteki nie narzekałyby, że teren nie korzysta z ich usług. Wówczas byłyby potrzebne, a i świetlice w Domach Młodego Nauczyciela w Warszawie nie świeciłyby pustkami...

W jakim stopniu nauczyciele przyzwyczaili się do instrukcji i wytycznych niech potwierdzi wręcz anegdotyczny wypadek: w pewnej szkole licealnej inspektorka zapytała co przygotowuje się na uroczystości Mickiewiczowskie? Odpowiedź była tej treści: „jeszcze nie otrzymaliśmy okólnika. W sprawie Chopina, owszem, okólnik nadszedł, ale w sprawie Mickiewicza jeszcze nie". Polonistka czeka na okólnik w „sprawie Mickiewicza"...

Salomon Łastik

9 maja i później

(Dokończenie ze str. 4)

Przewaga ta stwarza praktyczne możliwości urealnienia koncepcji współistnienia różnych ustrojów społecznych. Oczywiście nie należy ujmować sprawy naiwnie w ten sposób, że ideolodzy i politycy obozu imperialistycznego w pewnym momencie fatalistycznie zgodzą się z poglądem, iż kapitalizm tak czy inaczej skazany jest na zagładę, a trzecia wojna światowa może tę zagładę tylko przyśpieszyć.

Przeciwnie — teza o konieczności i o pożytku współistnienia zakłada, iż obiektywna wymowa rzeczywistości narzuci sferom kierowniczym obozu imperialistycznego wniosek, że realną drogą utrzymania, a nawet rozwoju, systemu kapitalistycznego (w którego trwałość z natury rzeczy wierzą) — jest właśnie droga współistnienia między systemem socjalistycznym a kapitalistycznym. Druga wojna światowa udowodniła m. in. to, że jest możliwe ustalenie pewnego minimum wspólnych celów między państwami o różnych ustrojach wobec wspólnego niebezpieczeństwa grożącego całej ludzkości. Bezpłodne jest medytowanie na temat, czy wojna atomowa i wodorowa byłaby mniej czy bardziej zgubna w skutkach od ewentualnego zwycięstwa hitleryzmu. Jest natomiast faktem już udowodnionym przez historię, że możliwy jest świadomy — w skali światowej — wysiłek w celu zapobieżenia klęskom katastrofalnym dla ludzkości. Udowodnił to dzień 9 maja 1945 roku.

Edmund Bora

GEORGE BIDWELL

O kulturalnym współistnieniu

Harvil Press, londyńskie wydawnictwo o opinii jednego z najbardziej reakcyjnych, wydało przekład „Odwilży" Ilii Erenburga. To nieoczekiwane posunięcie było rezultatem recenzji Aleksandra Wertha, który uznał, że powieść ta: „przeciwstawia się obecnej sytuacji w literaturze i sztuce radzieckiej". Współczesne sztuki, filmy i książki z Europy Wschodniej rzadko pojawiają się na komercjalnych scenach czy ekranach i rzadko znajdują łaskę w oczach kapitalistycznych wydawców. Świeżo wydaną przez postępową brytyjską spółdzielnię wydowniczą książkę dziekana Canterbury o Wschodniej Europie potraktowano z gryzącą ironią w tygodniku „New Statesman and Nation". „To musi być nadzwyczajne uczucie, gdy się wierzy, że oto w jednej części cierpiącej Europy panuje raj na ziemi". Odbudowa Warszawy znalazła się niedawno na ekranach brytyjskiej telewizji, — ale przy okazji królewskiej wizyty w Warszawie.

Nie ma oczywiście powodu, abyśmy naśladowali tego rodzaju stosunek do zagadnień kulturalnego współistnienia, jaki praktykuje się w Wielkiej Brytanii, o której tyle jeszcze osób w Polsce mówi, wznosząc oczy ku niebu, jako o ojczyźnie liberalnej demokracji. Ale za to ważną sprawą jest zrozumienie atmosfery, w jakiej powstaje kultura na Zachodzie.

Mówi się wiele o współistnieniu kulturalnym. Ale czy wszyscy, którzy to hasło podjęli, zdają sobie dokładnie sprawę, czego właściwie oczekują? Słyszę wypowiedzi, domagające się szerokiej sprzedaży setek książek angielskich, amerykańskich i francuskich bez żadnego wglądu w ich wartość i rodzaj. Czytać by je mogła oczywiście tylko nieliczna elita intelektualna. Nasuwa się pytanie, czy nie wystarczyłoby w tym wypadku usprawnienie istniejących możliwości sprowadzania z zagranicy książek i czasopism, zamawianych przez poszczególne instytucje i osoby.

Inni żądają, aby przetłumaczyć jak najszybciej na język polski setki powieści współczesnych autorów zachodnich. Na niedawnym zebraniu w CUW-ie nalegano zupełnie na serio, aby natychmiast przełożyć wszystkie bez wyjątku powieści Sinclaira Lewisa i Ernesta Hemingwaya, co oznacza dziesiątki pozycji. Chwila zastanowienia powinnaby chyba każdemu wystarczyć, by ocenić praktyczne i finansowe niepodobieństwo takich dezyderatów.

Żąda się również swobodnego obiegu gazet i periodyków — tych samych, o których nakładzie w Anglii i Ameryce decyduje ich nastawienie agresywnie polityczne lub też, dla rozmaitości, agresywnie pornograficzne. Reakcyjne czasopisma polityczne mają stosunkowo małe nakłady; czasopisma świadomie pornograficzne mają nakłady, idące w miliony egzemplarzy dziennie lub tygodniowo. Kingsley Martin pisze w swojej książce „Prasa, jakiej ludzie pragną":

„Od kiedy prasa stała się handlowym przedsiębiorstwem, zależy im przede wszystkim na dochodowych ogłoszeniach, co jest ściśle uzależnione od wielkości nakładów... Największy nakład osiąga się dzięki koncentracji na cechach atrakcyjnych dla każdego. Od kolan do pasa jesteśmy wszyscy podobni. Fizyczne pożądania są wspólne nam wszystkim; różnimy się tym, co u kogo siedzi w głowie".

Zmierza się więc do tego, aby każdy młodzik, który złapał w szkole początki angielskiego, mógł sobie kupić w Klubie Prasy Międzynarodowej „Daily Telegraph" i zagłębiać się w jego politykę lub też zapoznawał się — pozwolę sobie zastosować tu określenie, użyte przed kilkunastu dniami w Izbie Gmin — z „pederastią, sodomią, bestialstwem i gwałceniem", w którym specjalizuje się czasopismo „News of the World", ukazujące się każdej niedzieli w siedmiomilionowym nakładzie.

Brak krytycznej oceny współczesnej burżuazyjnej literatury Zachodu może nas zaprowadzić na dziwne bezdroża. Ciekawym przyczynkiem do poznania podłoża tej literatury będzie na przykład numer miesięcznika brytyjskiego „Dwudziesty wiek" z lutego br., w którym członek Kings Colledge w Cambridge, Noel Annan stwierdza, że największy wpływ na literaturę pokolenia powojennego wywarł prof. Herbert Butterfield. Otóż w swoim dziele „Chrześcijaństwo i historia" ten najbardziej wpływowy z pisarzy wywodzi, że wszelkie socjologiczne interpretacje zjawisk historycznych włącznie z teorią postępu i zasadami marksizmu są chełpliwym rozczarowaniem, a jedynie sensowne wytłumaczenie przynosi nam chrystianizm. „Jeśli tylko przyjmiemy, że ludzie grzęzną w niewoli grzechu pierworodnego, cała przeszłość nabiera nowego znaczenia, a niemożliwe sytuacje, które ludzie nieustannie stwarzają, stają się zrozumiałe jako rezultat chciwości, egotyzmu, bezwzględności i oddziwiecznej skłonności do grzechu, cechujących rasę ludzką". Wniosek: „Więc po co się kłopotać? I tak nic nie poradzimy". Następnie prof. Butterfield, poważa literatury, stwierdza, że przyszłe pokolenia potępią błąd, który popełniliśmy zwalczając hitlerowskie Niemcy i nazywa politycznym samobójstwem zniszczenie tego kraju, który jedyny mógłby być skuteczną przeciwwagą Związku Radzieckiego. Cienie Monachium i Nevila Chamberlaina, echa Dullesa i Adenauera!

Irracjonalizm i faszyzm pięknych teorii prof. Butterfielda nie jest jedynie odizolowanym wyskokiem, jak tego dowodzą dalsze artykuły w tym samym numerze „Dwudziestego wieku". Inny z wykładowców uniwersytetu w Cambridge, M. J. C. Hodgart pisze, że intelektualiści angielscy z r. 1950 przejawiają „poważne zainteresowania niektórymi badaniami z dziedziny antropologii i psychologii. Jung jest obecnie modniejszym od materialisty Freuda. Terminologię „pratyp", „rytuał", „płodność a dobór naturalny", „mity poetyckie" spotyka się powszechnie w tygodnikach literackich, które zdradzają modną obecnie wrogość wobec materializmu filozoficznego i racjonalizmu". Hodgart cytuje Roberta Gravesa (autora powieści „Ja, Klaudiusz", przełożonej na język polski), który w r. 1948 napisał „Białą boginię", gdzie przedstawia połączony ideał matki, kochanki i niszczycielki i prowadzi do wniosku, że każdy prawdziwy poeta jest wielbicielem tej bogini.

Istnieje jeszcze jeden powód zapotrzebowania na literaturę zachodnią. W naszych własnych powieściach, sztukach, w gazetach i czasopismach nie mamy dosyć materiału rozrywkowego. Niewielu ludzi na świecie potrafi żyć stale na koturnach poważnych rozmyślań o zasadniczych sprawach, większość potrzebuje jakiejś formy umysłowego odprężenia. Na Zachodzie słowo drukowane dostarcza wielkich ilości lekkiego, czy nawet płytkiego materiału rozrywkowego. I u nas moglibyśmy mieć więcej materiału rozrywkowego, i to na poziomie dostosowanym do naszych potrzeb, gdyby nasi krytycy i redaktorzy wydawnictw zechcieli zrewidować swój stosunek do tego zagadnienia. Widzę pewne niebezpieczeństwo w tym, że odnosimy się zazwyczaj pogardliwie do książek, pisanych wyłącznie czy nawet głównie z myślą o dostarczeniu rozrywki czytelnikom.

Mamy na Zachodzie wielu doskonałych przedstawicieli literatury tego rodzaju. Ten sam Robert Graves, który gdy jest poważny, gubi się w okultyzmie, dał nam niegdyś „Antigua Penny Puce", czarujące i przezabawne opowiadanie o intrygach i waśniach, których ośrodkiem był jeden cenny znaczek pocztowy; Graham Greene, który pisząc na serio wyznaje mit grzechu pierworodnego, wydał świeżo przemiły drobiazg zatytułowany „Loser Takes All" o pechu szczęśliwego gracza, o miłości, ruletce, Monte Carlo, o fantastycznych wygranych i komicznych komplikacjach; C. Day Lewis, wykładowca poezji na uniwersytecie w Oxfordzie i G. D. H. Cole, profesor ekonomii na uniwersytecie londyńskim, są obaj autorami powieści kryminalnych co bynajmniej nie narusza ich autorytetu w poważniejszych dziedzinach, Michał Sadleir ma w swym dorobku rozkoszny sentymentalny romans z XIX wieku pt. „Fanny by Gaslight". Oczywiście, książki tego rodzaju można by tłumaczyć i nikomu by szkody nie przyniosły.

Istnieje wśród naszych krytyków tendencja oceny wszystkiego za pomocą kryteriów Wielkiej Sztuki, a potępiania w czambuł lub pomijania milczeniem literatury i sztuki lżejszego kalibru, tak potrzebnej, by przyjemnie spędzić chwilę odpoczynku po długim dniu ciężkiej pracy. Czy nie zdarza się zbyt często, iż ktoś wstydzi się przyznać, że śmiał się szczerze a serdecznie na lekkiej, bezpretensjonalnej, z lekka farsowej sztuce „Imieniny pana dyrektora"? i czy takie podejście nie jest początkiem elitaryzmu?

Poza tym, niektórzy krytycy, często bez solidnej znajomości tematu, najpierw rozdmuchują w poważne, nieomal naukowe dzieło o kulturze zachodniej tego rodzaju lekką, interesująco i błyskotliwie napisaną książkę o charakterze dziennikarskim, jak Kałużyńskiego „Podróż na Zachód", a potem solennie i uroczyście krytykują ją i mieszają z błotem, ponieważ nie znalazła się na poziomie ich własnego, mylnego wyobrażenia o koncepcji tej pracy. Przypomina mi to wytaczanie ciężkich armat oblężniczych przeciwko chłopcu, uzbrojonemu w procę. W rezultacie odstrasza się autorów i wydawców od pisania i publikowania literatury lżejszego gatunku i doskonalenia poziomu tego gatunku.

Sprawę importowania na szeroką skalę książek z Zachodu — czy w tekstach oryginalnych czy też w przekładach — trzeba rozważać w ścisłym związku z naszą własną polityką wydawniczą. Dlaczego mamy tłumaczyć książki zachodnich autorów, które nasi wydawcy odrzuciliby z pogardą, gdyby były napisane przez polskiego autora? Nawet powieści autorów postępowych, wydawanych na przykład w Anglii, zawierają tyle swobody w sprawach seksualnych, że gdyby Mirosław Żuławski lub Ścibor Rylski przedstawił podobny passus polskiemu wydawcy, ten dostałby ataku sercowego. Ostatnia powieść Dorris Lessing, zatytułowana „A Proper Marriage" jest wspaniałym oskarżeniem dyskryminacji rasowej w Kraju Nyassa. Ale w pierwszych rozdziałach mamy zaskakująco szczegółowe opisy pożycia małżeńskiego nowo poślubionej pary i rozmaitych sposobów zapobiegania ciąży. Czemu nie? Owszem, czemu nie. Ale jeśli wydajemy w języku polskim powieść Dorris Lessing, to wydaje mi się bardzo nielogiczne, iż redaktor pewnego wydawnictwa próbował niedawno z jednej z moich książek usunąć demoralizujący fakt, iż powieściopisarz z XIX wieku Samuel Butler posiadał — o zgrozo! — kochankę!

CUW opracowuje przy pomocy specjalistów, pisarzy i tłumaczy zakreślony na szeroką skalę długoterminowy plan przekładowy literatury klasycznej Zachodu. Ale wydaje się, że jeszcze dużo wody upłynie, zanim da się odczuć poprawa w stosunku do błędów, do tej pory popełnianych. Praktyczne trudności — możliwości tłumaczy, pierwszeństwa wydawnicze i inne — są bardzo poważne i nie należy ich ignorować. W obliczu tych trudności tym bardziej wydaje się zadziwiające, gdy niektórzy wydawcy, a nawet pisarze utrzymują, że nie ma sensu publikować esejów, czy artykułów o autorach zagranicznych, klasykach czy też współczesnych, których dzieła nie są jeszcze dostępne w języku polskim. Z mojej pracy o powieściopisarzach angielskich XIX wieku wydawca usunął eseje o Bulwerze Lyttonie, Beniaminie Disraelim, Karolu Reade, Antonim Trollope i George'u Meredith, ponieważ polski czytelnik nie zna tych autorów. Wychodząc z tego założenia nie należy uczyć w szkołach geografii Ameryki, ponieważ zapewne niewielu uczniów zobaczy kiedykolwiek Kalifornię. Lepiej dać czytelnikowi pewien syntetyczny zasób wiadomości o danym pisarzu — w braku przekładów jego dzieł — niż w ogóle nic; zasób wiadomości, który przygotuje czytelnika do przyjęcia przekładu, gdy ten się pojawi.

O ile chodzi o literaturę współczesną, która nie jest ujęta w opracowanym przez komisję planie przekładowym CUW-u — wątpię, czy ktokolwiek pojedynczo mógłby ustalić ogólne kryteria, na podstawie których można by na przykład wyselekcjonować do tłumaczeń pewną ilość pozycji z 18.000 tytułów, wydanych w Wielkiej Brytanii w roku 1954.

Nieliczna komisja mieszana redaktorów, pisarzy i przedstawicieli czytelników, znających języki zachodnie, byłaby zapewne najlepszym instrumentem do wypracowania tego rodzaju kryteriów. Takiej komisji i wszystkim interesującym się zagadnieniem współistnienia kulturalnego w dziedzinie literatury pozwolę sobie zacytować wyjątek z „Widnokręgów Demokracji" Walta Whitmana na temat trującego wpływu ówczesnej literatury europejskiej na kraj, który w marzeniach i nadziejach Whitmana miał poprowadzić ludzkość w nową demokratyczną, humanistyczną przyszłość:

„Wzory dla naszej literatury, które otrzymujemy z krajów zamorskich, urodziły się na dworach, a wyhodowały w cieniu zamków, unosi się wokół nich aromat książęcej łaski. Dzieł pewnego gatunku mamy aż w nadmiarze, dzieł bardzo wytwornych, bardzo uczonych, bardzo przykładnych. Ale jeśli przyłożymy do nich naszą miarę narodową, czy też demokratyczną — rozpadają się w nicość".

George Bidwell

Przełożyła **Anna Bidwell**

LUDMIŁA MARIAŃSKA

KRUKI

W kawiarni modnej i gwarnej
niebieskim ptakom na przekór,
kruki sfruwają się czarne
szukając zbawczego leku.

Spojrzenie niespokojne:
maleńką chociaż wojnę!

Oczy im płoną gorączką,
w zachwycie niemal wzniosłe,
gdy się kłaniają z drżączką
przed Dardanelskim Posłem.

Nadzieje zagraniczne!
Śliczne! Katastroficzne!

Późno wychodzą z kawiarni,
a potem radia słuchają
i jeszcze bardziej czarne —
znów na pół czarnej wracają.

I szemrzą tam rozwlekle
o raju i o piekle.

— Cóż z tego, że się do raju
chcę wyrwać z tego piekła:
paszportu mi nie dają! —
krukowa pewna rzekła.

I jak gradowa chmura
usiadła strosząc pióra.

A kruk, jej mąż, rzekł: — Pewnie!
Bo stracić nas im szkoda!
I do kelnerki gniewnie:
— Trzy torty, jedna woda.

Z życia intelektualisty meteorologiczno-atmosferycznego.

Rys. Ignacy Witz

— Trzeba się więc podkształcić ideowo...

Fraszki

ALEKSANDER ZIEMNY

Nasz Spartakus

Kazano mi być wolnym! — wróciwszy z urzędu
wykrzykuje z triumfem. Mnie chwytają mdłości,
gdy widzę, jak na rozkaz nabiera rozpędu,
zamiast w sobie samym poszukać wolności.

nowe książki

„TAK RODZIŁA SIĘ WOLNOŚĆ". MON 1954. Opracowanie literackie: B. Czeszko, St. R. Dobrowolski, H. Hubert, J. Lau, L. Pasternak, J. Szymanowski. Redakcja literacka St. Nadzin.

Okazały, pięknie wydany na dziesięciolecie Polski Ludowej tom wspomnień żołnierskich stanowi rodzaj kroniki, oczywiście kroniki niepełnej, fragmentarycznej, ilustrującej jednak znakomicie wydarzenia zawarte w czasie dzielącym pierwsze akcje partyzanckich oddziałów Gwardii Ludowej i chrztu bojowego I dywizji im. Tadeusza Kościuszki, od ostatnich bojów stoczonych na ulicach Berlina i Pragi Czeskiej. W zebranych tu kartkach pamiętników, zapisów, not żołnierskich widać nie tylko obraz wydarzeń politycznych, ale i postawę żołnierza frontowego.

Część pierwsza zbioru zawiera epizody z walk partyzanckich Gwardii Ludowej, dalej znajdujemy wspomnienia kościuszkowców z bitwy pod Lenino. W trzeciej części zamieszczone materiały dotyczą bojów oddziałów partyzanckich Armii Ludowej. Oddzielną grupę stanowią wspomnienia z walk dywizji Kościuszkowskiej na terenie ziem polskich objęte wspólnym tytułem „Od Bugu do Wisły". O wyzwoleniu Warszawy mówią bezpośredni uczestnicy ofensywy podjętej w styczniu 1945 roku. Dalej czytamy relację tych żołnierzy I armii, którzy wzięli udział w wyzwoleniu Pomorza. Etap walk od sforsowania Odry do zatknięcia sztandaru na kolumnie zwycięstwa w Berlinie znalazł także swój oddźwięk w zapisach żołnierzy. Cykl „Na Zachód od Nysy" przypomina ostatni okres walk, ostatni etap szlaku bojowego Wojska Polskiego.

Na czym polega wartość i znaczenie tej książki? Na tym przede wszystkim, że jest jakąś bezpośrednią, surową, przemawiającą do czytelnika swą bezpretensjonalnością relacją. Te proste żołnierskie zdania pozbawione jakiejkolwiek afektacyjności wzruszają autentyzmem. Piękne wydanie zachęca do zainteresowania się treścią tomu. Liczne, barwne plansze i rysunki Uniechowskiego podnoszą atrakcyjność tego wydawnictwa.

„STUDIA I MATERIAŁY DO HISTORII SZTUKI WOJENNEJ" KOMISJA WOJSKOWO-HISTORYCZNA. MON 1954 r.

Materiał naukowy zebrany w ogromnym, ponad 700 stron liczącym tomie jest dorobkiem naszej młodej marksistowskiej nauki wojskowo-historycznej, która wykorzystując materiał faktograficzny zgromadzony przez burżuazyjną naukę historyczną, rozwija go w sposób krytyczny i twórczy. Przedstawiciele tej gałęzi wiedzy sięgają równocześnie do nowych materiałów, aby na szerszej bazie źródłowej i w oparciu o analizę marksistowską dać prawdziwy i obiektywny obraz polskiej sztuki wojennej.

Wydawcy zwracają uwagę na wstępie na trudności, jakie napotyka realizacja tego zadania, na rozległość problematyki, zakres zagadnień, wymagający współpracy wszystkich badaczy — historyków wszystkich instytucji naukowych zajmujących się tą dziedziną wiedzy. „Dzieła traktujące o wojskowo-historycznej problematyce powinny nie tylko uczyć, nie tylko dostarczać bogatego materiału i głębokich słusznych uogólnień. Powinny one również wychowywać, zwłaszcza młodzież, oddziaływać na wyobraźnię historyków, budzić dumę z wielkich osiągnięć, pogłębiać ludowy patriotyzm, wywoływać żal i gorycz na myśl o zaprzedawaniu bohaterstwa i ofiarności ludu przez rządzące klasy posiadające... Jedynie takie podejście do dziejów narodu, a więc i do dziejów wysiłku zbrojnego w przeszłości, przyczyni się do wychowania wiernych i niezłomnych budowniczych socjalizmu, obrońców pokoju, wolności i niepodległości ludowej ojczyzny" — czytamy we wstępie do tego tomu, który zawiera artykuły i rozprawy o bardzo różnej tematyce historycznej, recenzje i omówienia literatury tego zakresu oraz sprawozdania z działalności komisji wojskowo-historycznej i relacje z konferencji wojskowo-naukowej.

„POLSKA SZTUKA WOJENNA W OKRESIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO". Opracował Emanuel Halicz. MON 1954.

„Polska sztuka wojenna w okresie powstania styczniowego" ukazuje się jako 14 zeszyt wypisów źródłowych do historii sztuki wojennej, redagowanych przez Komisję Wojskowo - Historyczną Ministerstwa Obrony Narodowej. Zebrane w tym zeszycie teksty źródłowe ilustrują nastroje i przygotowania poprzedzające wybuch powstania, dostarczają materiałów o przebiegu działań bojowych, pozwalają stworzyć sobie obraz stosunku poszczególnych klas społecznych do powstania, naświetlają sprawę pospolitego ruszenia. W dalszych rozdziałach zebrano dokumenty dotyczące poszczególnych bitew i potyczek oraz cenne informacje o organizacji wojsk. Autor pracy zamieścił także w tym tomie fragmenty korespondencji K. Marksa i F. Engelsa, mówiące o powstaniu styczniowym oraz wyjątki z artykułów Hercena, ogłoszonych w czasopiśmie „Kołokoł". Dokumenty objęte wspólnym tytułem „Za naszą i waszą wolność" dowodzą, że powstanie styczniowe cieszyło się poparciem obozu demokracji europejskiej. Znalazły się tu wspomnienia o walczących w oddziałach powstańczych Rosjanach, Ukraińcach, Włochach, Francuzach, Węgrach i Niemcach. Do tomu włączono mapę ważniejszych bitew i potyczek w latach 1863—65. Fragmenty pracy Emanuela Halicza weszły także do tomu zbiorowego studiów, który omówiliśmy poprzednio.

WALDEMAR TUSZYŃSKI „WALKI PARTYZANCKIE" W LASACH LIPSKICH I JANOWSKICH I W PUSZCZY SOLSKIEJ. MON 1954.

Autor książki na podstawie meldunków, raportów i innych dokumentów dowództwa AL oraz relacji i wspomnień uczestników walk i miejscowej ludności odtworzył przebieg walk partyzanckich na Lubelszczyźnie, które rozegrały się między 9 a 25 czerwca 1944 roku. Książkę uzupełniają liczne mapy i szkice topograficzne oraz zdjęcia uczestników walk.

K. Nast.

ZA GRANICĄ

Z OKAZJI DZIESIĘCIOLECIA WYZWOLENIA STOLICY CZECHOSŁOWACJI — PRAGI nagrody literackie otrzymali: Maria Pujmanowa za tom wierszy pt. „Praha" i Bohuslav Brzezovsky za powieść „Lide v kvietnu" („Ludzie w maju"). Powieść Brzezowskiego poświęcona jest Powstaniu Praskiemu z maja 1945 r. Jak piszą „Literarni noviny": „ożywa w tej książce niezapomniana Praga, która jednym odruchem tysięcy rąk zdarła hackenkreuze i wzniosła sztandar rewolucji. Jedni walczyli na barykadach, przelewając krew. Inni drżeli, kryjąc się po piwnicach. Jeszcze inni gorączkowo zacierali ślady kolaboracji. Znaleźli się i tacy, którzy pospiesznie przybrali nową maskę, aby kontynuować swoją zdradziecką czynność... Tak widział i pokazał Brzezovsky Pragę i jej ludzi w maju". (a)

*

G. LUCACS, tegoroczny laureat nagrody im. Kossutha, obchodził niedawno 70-lecie urodzin. Lucacs otrzymał przy tej okazji wiele listów i telegramów z pozdrowieniami od najwybitniejszych pisarzy. M. in. telegram okolicznościowy przesłał Lucacsowi Tomasz Mann, stwierdzając, że ceni sobie jego prace teoretyczne i że prace te miały wpływ na jego, T. Manna, twórczość. Prasa węgierska, niemiecka i czechosłowacka poświęciła Lucacsowi w związku z jego 70-leciem wiele artykułów i esejów wspomnieniowych. Tygodnik berliński „Der Sontag" przyniósł m. in. artykuł Wolfganga Haricha o związku duchowym Lucacsa z kulturą niemiecką. Harich wspomina m. in. studia Lucacsa w Berlinie i Heidelbergu, udział Lucacsa w rewolucji węgierskiej (w r. 1919 Lucacs był, jak wiadomo, komisarzem ludowym do spraw nauki w rzadzie Węgierskiej Republiki Rad), a następnie antyfaszystowską działalność Lucacsa w Niemczech przed przewrotem hitlerowskim. Harich pisze, że Lucacs zajmował się nie tylko zagadnieniami ideologicznymi ale jako komunista wykonywał skrupulatnie „najczarniejsze" codzienne roboty partyjne nie mające bezpośrednio nic wspólnego z literaturą i estetyką. (a).

*

„DER FRAGEBOGEN" Ernesta von Salomon jest książką autobiograficzną, która od kilku lat cieszy się ogromnym powodzeniem w Niemczech zachodnich. Z okazji przekładu na język angielski Frederic Morton (krytyk i znany obserwator powojennych stosunków niemieckich) zamieścił w „Saturday Review" druzgocącą recenzję. Morton nazywa von Salomona „arcyprusakiem" i ani razu nie zapomina go tytułować z ironicznym szacunkiem: „Herr von Salomon". Mimo usiłowań amerykańskich wydawców, pisze Morton, mimo pewnych wysiłków tłumacza osłabiających nieco brutalną elegancję niemieckiego oryginału książka zatrzymuje swoje patologiczne znaczenie... Podana w formie pełnych oburzenia odpowiedzi na pytania ankiety przedkładanej nazajutrz po wojnie osobom podejrzanym o nazizm, ukazuje sylwetkę arcyprusaka kształconego od kolebki w zabijaniu ludzi, junkra z Akademii Wojskowej kajzera, członka „Freikorps", ochotniczej bandy zorganizowanej w latach dwudziestych w celu zabijania Słowian na Pomorzu i Śląsku, uczestnika spisku morderczego, którego ofiarą padł minister spraw zagranicznych Walter Rathenau w 1922 roku itd. Morton zauważa, że von Salomon, który był jednym z najlepiej opłacanych autorów i scenarzystów po dojściu Hitlera do władzy, w swoisty sposób opowiada o swojej filozofii życiowej z okresu wojny. Pisze mianowicie (post factum): „My musimy tę wojnę wygrać, a wtedy będzie naszym obowiązkiem... pozbyć się narodowych socjalistów". Nie ustępuje tej filozofii metafizyka oporu antyhitlerowskiego: „Każda próba pomocy wrogom lub ofiarom hitleryzmu pogarsza jedynie ich ciężkie położenie. Ponieważ w tych okolicznościach każdy czyn jest zorodnią, jedyne co pozostaje to: nic nie robić". Jest to zdaniem Mortona jedyna „uczciwa postawa", na jaką może się zdobyć von Salomon. Morton, kończąc recenzję informacją, że w książkę Salomona zaopatrzyło się dotąd ćwierć miliona Niemców, konkluduje: „Jest ta książka dla Amerykanów równie pożyteczną lekturą. Polecam szczególnie „Fragebogen" jako literaturę do samolotu dla Johna Foster Dullesa podczas jednego z jego lotów do Bonn". (a)

*

KSIĄŻKI AUTORÓW SKANDYNAWSKICH nie znajdują uznania w oczach sądów zachodnio-niemieckich, które są również najwyższą instancją orzekającą w sprawie wartości artystycznych. Akros Verlag w Hamburgu wydał w jesieni ub. r. trzy reprezentatywne powieści szwedzkie: pacyfistyczną powieść pt. „Kain", którą napisał Bengt Anderberg, powieść Ulla Isakssonsa pt. „Dom Kobiet" i Per Andersa Fogelstroema „Czas Moniki". Książki te były już uprzednio przełożone na cztery języki, przy czym „Kain" Anderberga jest pozycją, o której dyskutuje się w krajach skandynawskich po dziś dzień. (Dwie pozostałe wymienione tu pozycje osiągnęły w pierwszym nakładzie po 100 tys. egz.). Sąd we Frankfurcie nad Menem zakazał rozpowszechniania wszystkich trzech tytułów, zarządzając równocześnie konfiskatę w księgarniach. Motywacja postanowienia mówiła zarówno o przestępstwie przeciw obyczajności, jak o „podrzędnym gatunku literackim". Pod naciskiem opinii publicznej i burzy w prasie, która stwierdziła, że chodzi tu o pozycje wysokiej rangi artystycznej — postanowienie sądowe zostało cofnięte... Niemniej zakaz rozpowszechniania wymienionych książek obowiązuje we Frankfurcie w dalszym ciągu. Jak podaje prasa, z restrykcjami sądów zachodnio-niemieckich spotykają się raz po raz poszczególne książki J. P. Sartre'a. (a)

*

PARYSKI „SALON DZIECI", który przyznaje corocznie nagrodę za najlepszą książkę młodzieżową, wyróżnił tym razem powieść Saint-Marconxa o „Kaktusowej księżniczce". Powieść ta zyskała sobie wielką popularność, szczególnie wśród dziewcząt, dzięki „subtelnym odcieniom tajemniczości, romantyzmu i egzotyki". Treść „Kaktusowej księżniczki" jest następująca: mała księżniczka żyje w luksusowej willi na skraju pustyni, w Tunisie. Żyje sobie razem ze swoim ojcem-lekarzem wojskowym, bratem-inżynierem towarzystwa naftowego i stryjem-oficerem Legii Cudzoziemskiej. Księżniczka znajduje na pustyni i ocala od śmierci dwoje tubylczych dzieci berberyjskich... Kiedy na spokojnie egzystującą sobie rodzinkę napada zbuntowany dziki szczep koczowników, wtedy, rzecz prosta, okazuje się, że ojciec ocalonych tubylcząt jest właśnie przywódcą tego szczepu... Wzruszony pada na kolana i kaja się przed „Kaktusową księżniczką". „Nie jest przypadkiem — pisze postępowa prasa — że w chwili, gdy lud Tunisu walczy o wolność i jest ofiarą brutalnych represji kolonizatorów — literatura burżuazyjna sięga do podobnych watków powieściowych... Kaktusowe księżniczki mają pokazać, że tubylcy w Tunisie są nadzwyczaj prymitywni, a obecność Francuzów w tym kraju należy potraktować jako dobrodziejstwo. Przecież według tej książki walka o wolność w Tunisie to tylko dziecinne zamieszki kilku dzikich, niecywilizowanych szczepów górskich. Jest jasne, komu i jakim celom podobna literatura służy". (a)

JESZCZE O MŁODYCH

POMÓWMY OTWARCIE

Sprawy, o których będę pisał, dotyczą nie tylko młodzieży literackiej, lecz w znacznym stopniu całego pokolenia młodzieży artystycznej.

Zacząć trzeba od sprawy będącej niejako ukoronowaniem wszystkich naszych młodych słabości. Impas, w jakim znalazły się dzisiaj Koła Młodych przy poszczególnych Oddziałach Związku Literatów, jest poniżający i, mówiąc szczerze, jest hańbą zarówno dla nas młodych jak i dla naszych starszych kolegów, opiekunów i mistrzów. Sprawa jest poważna i wymaga poważnego rozpatrzenia. O wiele poważniejszego od tych nie zawsze odpowiedzialnych głosów, których wynikiem było pozostawienie Kół Młodych sobie samym, swoim infantylnym igraszkom. Od roku już rozlegają się nieopanowane okrzyki: „Koła Młodych nie zdały egzaminu! Musimy poszukać innych form organizacji młodzieży artystycznej!" Szukają do dzisiaj. Nie, najmilsi, nie tu leży pies pogrzebany. Nie Koła zawaliły. Egzamin zawaliła sama młodzież. I nie pomogą tu żadne eksperymentatorskie próby strukturalne, żadne poszukiwania nowych form, żadne „kluby dyskusyjne młodych twórców". Cóż po nich, kiedy nie ma ich czym wypełnić. Zaprawdę powiadam wam, rzecz jest w treści, w treści, w treści. Jesteśmy nijacy jak żaby i nie ma co zabawiać się w literaturę, jeśli nie przeistoczymy naszego stosunku do życia, jeśli nie staniemy się różni, jeśli nie staniemy się ciekawsi sami w sobie. Nasza bezbarwność ideowa pachnie rozkładem. Bierność trzyma nas na rozdrożach. Niech nikt nie próbuje mnie przekrzyczeć. Niech nikt nie woła: „Obelga! Lży się naszą bohaterską, entuzjastyczną młodzież! Precz!" Niech nikt tak nie woła, niech lepiej wejrzy w siebie i odłożywszy do lamusa trzeciego klasy formułki zastanowi się nad przyczyną impasu.

Ze strony naszych starszych kolegów słyszymy często narzekania, że nasza, że się tak wyrażę, działalność pisarska nie przynosi nic rewelacyjnego, a przynajmniej nic, co mogłoby zaświadczyć o bogactwie naszych myśli, a zarazem w sposób najoczywistszy odświeżyć niektóre zastałe już regiony „dorosłej" literatury. Pamiętacie „Almanach Literacki"? Nie byłem w Oborach, nie brałem udziału w seminariach odbywanych tam, niemniej echa rozmów tam prowadzonych napawają smutkiem. To starsi próbowali ożywić najmłodszych, obudzić w nich jakiś twórczy temperament. Pouczali nas. Nas, pożal się Boże, awangardę. Nie żenujące to? Myślę, że bardzo.

Zdanie to zresztą najwidoczniej podzielają również kierownicy warszawskiego oddziału Związku, którzy już od pół bez mała roku nie wykazują prawie najmniejszego zainteresowania sprawami stołecznego Koła Młodych. Nie wiem, jakimi względami kierowano się zmieniając związkowego opiekuna nad Kołem, natomiast wiem, że ustąpienie dotychczasowej opiekunki na dobre Kołu nie wyszło. Jakżeby inaczej, skoro obecność nowego „opiekuna" na zebraniach Koła da się policzyć na palcach jednej ręki. „A czy potrzebna jest wam — zawoła ktoś — w ogóle jakakolwiek opieka, panowie awangarda?" Jakakolwiek — nie. Dobra, doświadczona — niestety tak. „Niestety" dlatego, że trudno jest uznać zjawisko bierności i mizeractwa wśród młodych za rzecz normalną. Wierzę w przejściowość tego okresu. Wierzę, że Koła Młodych mogą stać się klasą wstępną literatury, ze nie muszą być jej przeszkodą.

Ale jak jest teraz? Teraz jest tak, że nie ma wśród nas „pryszczatych". Myśmy nie przeżywali czarnych lat okupacji i pierwszych gorących dni budowy nowej władzy z bronią w ręku. Myśmy nie musieli ustalać swego stosunku do świata balansując między życiem a śmiercią. Nie mieliśmy okazji oddawać swej krwi i życia za to, że chcieliśmy widzieć świat innym, niż go widzieli mordercy. Droga, na którą weszliśmy, nie była wprawdzie równa, ale przetarta i przetrzebiona z najtrudniejszych przeszkód, nie wymagała najwyższej uwagi. Nie trzeba było skupiać woli do zgrzytu zębów, by móc rozczytywać samego siebie i określić swoje miejsce na ziemi. Mieliśmy wyżłobione koryto, którym potoczyliśmy nasze losy. Swój stosunek do literatury konstruowaliśmy na zasadach pewnych utartych haseł. Jeśli było w nas coś, co przeciwstawiało się temu, to albo tępiliśmy to bezlitośnie jako naszą słabość, jako drobnomieszczańskie obciążenia, albo kryliśmy w sobie głęboko, zachowując dla siebie na własny użytek. Podwójna moralność stąd właśnie wypływa.

Szliśmy w jednym szeregu, patrzyliśmy na wszystko jednakowo, upodabnialiśmy się do siebie jak manekiny. „Nasza siła tkwi w kolektywie!" — wołano za nas — Kolektyw udzieli pomocy we wszystkich najbardziej nawet skomplikowanych sprawach ludzkiego życia". Wierzyliśmy temu i Koła Młodych rozpoczęły ożywioną działalność. To ożywienie nie trwało jednak długo. Zanim powiały nowe prądy, w Koła wkradł się rozkład. A wiosną obok kwiatów zapachniały łajna. Ci, którzy stanowili trzon warszawskiego Koła, rozeszli się po swoich podwórkach. Kolektyw nie wszystkie? A więc zaczniemy myśleć samodzielnie — postanowili, popełniając ten sam pierwotny grzech vulgaryzowania słusznych w zasadzie haseł. Zamienili szczerość na doraźną wygodę. Jeden wydał wargi: „Przecież to kupa grafomanów!", drugi oświadczył: „Koło mi nic nie daje", trzeci po prostu: „Nie mam czasu". Pierwszy nie widzi, że sam jest tego przyczyną: pewnie, skoro odeszli ci „z bożej łaski", pozostali gratomani. Drugi czeka na pieczone gołąbki. Trzeci to synteza obu poprzednich. Nie doceniają konieczności gorących sporów, nie widzą w tym możliwości rozwoju swojej indywidualności, a przede wszystkim są chyba zadufani. Nie przeszkadza im to jednak wykorzystywać forum Koła dla celów analizy własnych utworów. Trzeba to nazwać wygodnictwem? Trzeba.

Ten brak temperamentu i określona faktami bezideowość ciąży i na resztkach Koła. Otworzyliśmy na oścież drzwi do naszego kolektywu. Ludzi przychodzących na sobotnie dyskusje przestaliśmy dzielić na członków i gości. Jesteśmy zorganizowani na prawach wolnej trybuny.

Ale i to nie uratuje sytuacji i to nie wywlecze nas z impasu. Dopóki nie przełamiemy tkwiącego w nas tchórzostwa w określaniu swego stosunku do kłębiących się wokół spraw, dopóki nie pozbędziemy się tej „drugiej twarzy" tak bardzo przeszkadzającej nam zająć jakieś zdecydowane ideowe stanowisko — dopóty nasza pisanina będzie grzecznitka i poprawna. Dopóty będziemy „niedopisarzami".

Gotów byłem poprzeć Kałużyńskiego. Guzik mnie obchodzi, co czynią i myślą moi koledzy, byle produkowali arcydzieła. Coż, kiedy tych arcydzieł nijak dojrzeć nie można. I dlatego całym sercem jestem po stronie Lasoty. Nie masz dobrej literatury bez ideowych twórców. Ludzie tworzą nie tylko historię. Wszystkie choroby piszącego w końcu położą swoje piętno na tworze jego talentu. Są wyjątki? Są. I potwierdzają regułę.

Żeby jednak ustawić siebie słusznie na ziemi, trzeba pozbyć się lenistwa i bierności. Trzeba zmusić siebie, choćby to kosztowało wiele wysiłków, do pełnej analizy zjawisk aktualnego świata — polityki i spraw ludzkich.

Nie czekajmy na doping „dorosłych", na jakieś zrodło natchnienia w postaci twórczej, oczyszczającej dyskusji. „Dorośli" cierpią na podobną naszej chorobę pomieszania pojęć i uczciwe próby jednych są wywracane na nice podwyższoną temperaturą u drugich. Nasze czasopisma kulturalno-literackie roją się od osobistych wycieczek, przytyków i złośliwości. Wprawdzie ma to swój smaczek słony i pieprzny, ale literaturze przyprawa taka wartości i blasku na pewno nie przyda.

Mówi się często o ułatwionym starcie młodych. Czy może mi ktoś wyjaśnić na czym to polega? Bo chyba nie na tym, że powołano do życia Koła Młodych, a potem pozwolono im dogorywać w powolnej agonii, chyba nie na stypendiach, o których czasem słychać, ale których nikt nie wyczuł w kieszeni; chyba nie na tym wreszcie, że można coś wydrukować. Bądźmy sprawiedliwi, a przede wszystkim ścisli: w stosunku do sytuacji jaka panowała na rynku wydawniczym w okresie międzywojennego dwudziestolecia, w stosunku do ówczesnych możliwości startu w stratosferę p r a w d z i w e j literatury — szanse publikacji swoich prac mamy niewątpliwie znacznie większe. Tak, prawem naszego ustroju jest wykorzystywanie talentów. W ostatniej instancji decyduje jednak jakość. Piszę to z pełnym przekonaniem wierząc, że jeśli zdarzają się wśród redaktorow wypadki oceny utworów początkujących pisarzy na podstawie „taryfy ulgowej", to nie częściej niż wypadki odrzucania ich z braku „nazwiska". Te rzadkie wyjątki niwelując się wzajemnie potwierdzają regułę eliminacji jakościowej. I jak to dobrze! Wszakże o to właśnie chodzi! Chcemy tworzyć literaturę, literaturę co się zowie, taką, żeby dech zaparło, żeby wstrząsnęło człowiekiem jak prądem. I w szlachetnej „konkurencji piór" taka powstanie.

Od dłuższego czasu trwa wołanie o jakiś periodyk społeczno-literacki, czasopismo kulturalne dla młodych. Niestety, najsilniejsze głosy domagające się takiego wydawnictwa zwykły uzasadniać swoje propozycje koniecznością stworzenia realnych możliwości publikacyjnych dla młodych piór. Nieporozumienie wprost żenujące. Jeżeli w ogóle można tu dyskutować zagadnienie budowy ćwiczebnego poligonu dla hałaśliwej strzelaniny młodych, to chyba tylko traktując go wtórnie, po uznaniu potrzeb par excellence odbiorcy, czytelnika. Jesteśmy tylko tabakierą, rola służebności musi stać się jej cechą dominującą. Jeśli nie mam racji — nie chcę być pisarzem.

Zmierzam do zamknięcia tych krótkich rozważań jakimś wnioskiem. Poddaję go pod dyskusję zainteresowanych. Wydaje mi się słuszne, potrzebne, a nawet konieczne zwołanie w najbliższym czasie zjazdu lub konferencji młodych pisarzy (duży kredyt, co?) dla wymiany jak najszerszego wachlarza poglądów w sprawie przełamania impasu, przyśpieszenia rozwoju zdrowego ruchu umysłowego wśród młodzieży. Zadanie określenia charakteru projektowanego kulturalno-literackiego czasopisma winno, moim zdaniem, należeć do kompetencji właśnie takiego zjazdu. Możliwości i przyszłość Kół Młodych to chyba jeszcze jedna sprawa, którą rozwiązać mogą jedynie najbardziej zainteresowani. I wreszcie wykorzystanie atmosfery nadchodzących wielkich dni Festiwalu dla sprawy ożywienia ruchu młodzieżowego może stanąć również na porządku dziennym obrad. Zjazd winien się odbyć pod auspicjami Zarządów Głównych Związku Literatów i Związku Młodzieży Polskiej.

Eugeniusz Kabatc

Z życia ZLP

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich zawiadamia, że ze względu na duży napływ prac na konkurs Roku Mickiewiczowskiego, ogłoszenie wyników nastąpi w dn. 15 maja 1955 r.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa". Kolportaż PPK „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4.60 zł, kwart. 13.80 zł, półrocz. 27.60 zł, rocznie 55.20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-09. Rękop. niezamów. redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5

Zam. 942. B-6-1122